1227. II. 822.664
6618

ANTONI MAŁECKI.

LUDNOŚĆ WOLNA

W KSIĘDZE HENRYKOWSKIEJ

(ODBITKA Z „KWARTALNIKA HISTORYCZNEGO“ ROCZ. VIII. 1894)

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
1894

ANTONI MAŁECKI.

LUDNOŚĆ WOLNA

W KSIĘDZE HENRYKOWSKIEJ

(ODBITKA Z „KWARTALNIKA HISTORYCZNEGO“ ROCZ. VIII. 1894)

LWÓW
NAKŁADEM TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
1894

1444

II.822.664

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAJERA

1973 W 438/4

Ani o historyi szlachty w Polsce ani o historyi ludu polskiego, trafnie przeprowadzonej, tak długo u nas myśleć nie można, dopóki nie stanie nam przed oczyma jasny obraz położenia prostej wieśniaczej ludności w pierwszych wiekach naszej historycznej doby. Tak jak bowiem w każdym innym narodzie, tak też i w naszym ta to ludność musiała stanowić początkowy pień społeczności, ową rdzeń najpierwotniejszą, z której wszystkie inne stany wynikły i potem w kolei czasów, odpowiednio okolicznościom, odrębne swoje formy przybierały i rozwinęły. Problemat ten jednakże u nas należy do najzawilszych i jak może żadne drugie pytanie, do najsporniejszych, pomimo że od siedmdziesięciu lat z górą umysły nasze zaprzątа. Cała skala możliwych o tym przedmiocie pojęć — od najskrajniejszej ostateczności w kierunku sielankowej równości i swobody do drugiej takiejże ostateczności w duchu niewoli i pognębienia, — cała ta skala przez wszystkie swoje gammy i tony ma lub miała swoich w literaturze z tych lat wyobrazicieli.

Materyałem, zapomocą którego pytanie to może i musi być rozstrzygnięte, są nadewszystko źródła nasze dziejowe z XII stulecia. Dawniejszych nie posiadamy. A zatem dwie kroniki: Galla i Kadłubka: prócz nich archiwalne zabytki z tego wieku: dokumenta. Kroniki znane są od dawna, lecz stosunkowo mało w nich miejsc, rzucających światło na wewnętrzne stosunki kraju. Wydawnictwo dokumentów, krytyczne i świadome swego zadania, poczęło się u nas właściwie dopiero z rokiem 1847. Takie zaś dyplomataryusze, któreby przynosiły nie tylko niezachwaszczony nieumiejętnem opracowaniem, ale i w znaczniejszej masie materyał, o jaki nam tu

chodzi, jawić się zaczęły dopiero około r. 1874[1]). Wobec takiego stanu rzeczy dziwić się temu nie można, że prace w tym przedmiocie z przed r. 1870, a szczególnie wysiłki Lelewela, który w literaturze naszej właściwie zapoczątkował badania tego rodzaju, znaczną część życia im poświęcił i tyle dzieł w tej materyi zostawił, mało wydały rzeczywistego pożytku. Jakże mogło być inaczej, kiedy ten bystry i głęboki skądinąd badacz żył w takich okolicznościach, że nad stanem pierwotnym społeczeństwa polskiego właściwie nie studya, ale medytacye odbywał, nie wnioski z autentycznych czerpane źródeł, ale rojenia na temat np. Sądu Libuszy lub na tle innych, po większej części równie niewiarogodnych robót rozsnuwał i z dobrą wiarą za rzecz dowiedzioną ogłaszał[2]).

---

[1]) Dyplomaty w I tomie zbioru Sommersberga (1729) zawarte, pomijając nieudolność wydania, poczynają się dopiero od r. 1203. Stronczyńskiego, Wzory pism dawnych (1839), z wszelką starannością opracowane, dopiero od 1228. Raczyńskiego, Codex Majoris Poloniae (1840), najniedbalej obrobiony, choć w nim już i nieco najdawniejszych dokumentów, trudno powiedzieć, żeby stanowił epokę. Ta zasługa przynależy dopiero dziełu zapoczątkowanemu przez Helcla, Kodeksowi dypl. imienia Rzyszczewskiego (1847—58), lecz i tu XII-wiekowych zabytków stosunkowo niewiele. Dalsze publikacye: Mosbacha zbiorki (1860), Mazowiecki Kodeks (1863), Mogilski (1865), Liskego dyplomataryusz (od r. 1868 począwszy tom za tomem wydawany), choć po największej części (boć nie wszystkie) wytrzymują chlubnie wszelką krytykę, nie przynoszą materyału z stulecia, o które chodzi. Dopiero zbiory dyplomatów, pod biegłą ręką Dr. Piekosińskiego i auspicyami krakowskiej Akademii umiej. w r. 1874 wychodzić zaczynające, niemniej Kodeks Tyniecki (1875), i Zakrzewskiego Wielkopolski (1877) rozpoczęły na dobre szereg wydawnictw, otwierających prawdziwą kopalnię dla badań społeczno-dziejowych w naszej najdawniejszej epoce.

[2]) Jesteśmy w stanie najdokładniejsze utworzyć sobie o tem wyobrażenie, jakim materyałem źródłowym operował Lelewel, rozwijając swoje pomysły o pierwotnej organizacyi rządu i ludu polskiego. Przedewszystkiem oświecał tu drogi jego... Sąd Libuszy jako pomnik z IX stulecia. Obok tego ustawodawstwo wiślickie, wiekiem i duchem tak oddalone od przedmiotu podjętego tutaj zadania. Wreszcie ów zbiorek dokumentów, które L. dołączył do swego dzieła z r. 1827 »Początkowe prawodawstwo polskie«. Składa on się z 33 sztuk, które z jak największym, jak na tamte czasy, mozołem zgromadził sobie ten skrzętny badacz głównie z dzieł tak nierównej wartości, jak Paprockiego i Okolskiego herbarze, Nakielskiego Miechowia, Szczygielskiego Tinecia, Damalewicza Żywoty arcybiskupów i t. d., a w części także i z Metryki czyli Archiwum warszawskiego. Z tych 33 dokumentów przypada na wiek XII sześć (wszystkie sfałszowane, czego L. nie dostrzegał), a i te, co mu pokrywały dalsze czasy aż do rządów Wład. Łokietka, w znacznej części nieautentyczne. W 20 lat później wyszło to dzieło

Drugi jemu współczesny, na temże polu pracujący, pisarz (Maciejowski), choć i żył dłużej i w kraju i wśród obfitości potrzebnego aparatu do takich badań, na którym tamtemu zupełnie w drugiej połowie życia zbywało, nie posiadał pomimo całej swej erudycyi ani daru źródła rozumieć ani zręczności własne myśli logicznie związać i coś, coby i drudzy przyjąć mogli, jasno, spójnie i przekonywająco postawić

Co jednak dziwne, to że i dalsze prace nasze nad położeniem ludu wieków pierwotnych nie postępują tak pomyślnie, jakby się można było spodziewać. Nie bałamucą nas tu już fałszerstwa, gdyż je umiemy odróżnić od prawdziwych świadectw przeszłości. Skarżyć się też nie możemy na brak tych ostatnich. Wiele ich nie jest, to prawda. Ale i ten szczupły zasób może i powinien wystarczać, zwłaszcza że mała nadzieja, żeby dalsze odkrycia przyniosły wiele nowego do materyałów już wydobytych na jaw i dla każdego przystępnych. Nie zbywa też i na szczerej woli korzystania z tych danych. Pochlubić się możemy całym szeregiem publikacyi w tej materyi. Cóż jednak z tego, kiedy nie potrafilibyśmy wskazać dwóch pisarzy, którzyby się w rezultatach swych poszukiwań zgadzali z sobą. Opracowują tensam materyał — i dochodzą każdy do innych wyników! Ta niezgodność sama przez się dowodzi, że coś tu jest, co utrudnia tę pracę: jakiś brak, jakaś zawada, dla której albo wszyscy albo prawie wszyscy iść musimy błędną drogą do celu. Czyby ten brak dotyczył osób? Nie sądzę. Uczestniczą w tej pracy mężowie, którzy zdolnością, przygotowaniem, gruntownością, trzeźwą metodą, stoją bezwarunkowo na wysokości zadania. Nie ja pierwszy zadaję sobie pytanie, co tu rzecz psuje. Między innemi rozumiano, że chybiały te dociekania z tego powodu, ponieważ mając do zbadania stan rzeczy, który nie przekracza po za koniec XII stulecia, posiłkowano się jednak nie samemi tylko z tego wieku źródłami i przybierano sobie w pomoc i dalsze. To mieszanie późniejszych świadectw z materyałem uprzednim miało zaciemniać jasny pogląd na przedmiot. Próbowano stawić wynik roztrząsań, odbytych tylko w obrębie tak rygorystycznie zakreślonego czasu. Ale i ten wynik nie zniewolił drugich do uznania go za jedynie

---

ponownie, w mało zmienionej redakcyi. Przybyło tu i do dyplomatarzyka cokolwiek — 12 sztuk autorowi dawniej nieznanych, wziętych z Raczyńskiego i z I tomu Rzyszczewskiego, więc razem 45 dokumentów. Z tych przypada na wiek XIV 13 sztuk, na drugą połowę XIII 18, na pierwszą XIII wieku połowę tylko 6 (między nimi i falsyfikaty), a na XII stulecie 8 (między nimi tylko 2 autentyczne, ale z tekstu Raczyńskiego wzięte, więc np. bulla gnieźnieńska z r. 1136 z takiemi tekstu przekręceniami, że o rozumieniu na wskróś tego tak ważnego pomnika wcale nie mogło być mowy). W tym stanie rzeczy pozostało to wszystko i w edycyi III (Polska wieków średnich, T. III z r. 1857).

prawdziwy. Stanął obok innych hypotez, a nie połączył ich w sobie, nie zapanował nad niemi.

Mnie się zdaje, że rzeczywisty powód tej niezgodności pojęć naszych ani nie dotyczy metody ani tego, żebyśmy z pewnemi z góry powziętemi uprzedzeniami przystępowali do pracy. Tkwi on chyba w samym przedmiocie, w dokumentach tej odległej epoki, w ich zbyt krótkiej i po swojemu tłómaczącej się stylizacyi. Szczególnie w miejscach, niestety nader, jak wiadomo, nielicznych, na których opieramy nasze domysły dotyczące wiejskiej ludności, tak ogólnie one zawsze i półsłówkowo się wyrażają, że to dla nas niezrozumiałe, niejasne, że daje się wykładać, jak się komu podoba. Dyplomaty wydawano zawsze z okazyi zajść poszczególnych. Chodziło w nich o zanotowanie rzeczy tak, ażeby to wystarczało osobom, których ta rzecz dotyczyła, współczesnym, ludziom i skądinąd obeznanym z zdarzeniem. O rozpisywaniu się wyczerpującem, jak się miała cała taka sprawa od początku do końca, nie myślał wcale taki notaryusz książęcy. Nie zawsze je też układał notaryusz. Pisał je nieraz, kto był pod ręką. Tak jak imię panującego, wydającego przywilej, zastępowano bardzo często początkową tylko literą, taksamo poczynano sobie i z imionami osób, których dyplomat dotyczył: tak też poprzestawano na jak najzwięźlejszem tylko naznaczeniu przedmiotu aktu, czy nim była wieś jaka (niekiedy tak wspomniana, jak gdyby nie miała nazwiska), czy ludność w niej. Dodajmy do tego i brak wprawy pisarskiej. Dodajmy tamtoczesne niewyrobienie pojęć prawnych, o ile pod nie miały być podciągane stosunki krajowe, tak trudne do wyrażenia ich po łacinie. Specyalne położenia społeczne otrzymywały często nazwę, półsłówkiem określoną, która miała ogólniejsze znaczenie. Tamtocześni się rozumieli; czyniła taka stylizacya zupełnie zadość chwilowej potrzebie. Ale ogólnik taki dopuszcza i innego wykładu, a nieraz i kilka różnych wykładów — i niechże dzisiejszy człowiek odgadnie, co właśnie w owej chwili chciał powiedzieć redaktor aktu. W tym dokumencie tak go użył — jutro może tensam pisarz całkiem co innego przez tosamo słowo wyrazi. Nawet i kronikarskie relacye, tak nieraz gadatliwe co do zdarzeń, które autorowi dzieła zdawały się nadzwyczajnemi, bywają w zakresie wzmianek o codziennych, aż do zbytku wszystkim tamtoczesnym znanych stosunkach, zarówno urywkowe. *Milites bellicosi, rustici laboriosi*, powiada o całej ludności polskiej z pochwałą Gallus. Co są *milites*, wie każdy, ale co *rustici* tu znaczą? Jużciż pewnie nie co innego, jak chłopstwo, bo dziś nazywamy chłopem każdego, co na wsi chodzi za pługiem, a po łacinie nie mamy lepszego na to wyrazu, jak *rusticus*. Jeżeli jeszcze w jakim dawnym tekście do tego *rusticus* przybędzie *ducis* albo *ducalis:* toć rzecz jawna, że to poddany *(Leibeigener)* książęcy, którego trzeba było chyba wyzwolić z poddaństwa, żeby stał się niezawisłym człowiekiem. Wnioskowanie niby bardzo logiczne i proste — a przecie to wszystko nieprawda...

Więc cóż robić ostatecznie, ażeby raz wyjść z tego labiryntu? Mnie się zdaje, że tu niema innej rady, jak poszukać sobie klucza do rozumienia najdawniejszych archiwalnych zabytków, choćby ten klucz, ta pomoc była pismem nieco późniejszem, np. z XIII stulecia; poszukać takiego piśmienniczego pomnika, któryby obok dokumentów dawał i komentarz do nich, któryby w formie swobodnej, powszedniej, najpotoczniejszej gawędki, rozgadywał się o doli, o stosunkach rodzinnych, o położeniu towarzyskiem i o całym trybie życia tych właśnie osób, które w odnośnych dokumentach, na poparcie opowiadania tu w całości zazwyczaj przywiedzionych, występują jako działające. Wyrozumieć z tej gawędy, czem rzeczywiście byli ci wszyscy ludzie, a z dokumentów powziąć wiadomość, jak ich zwały kancelarye książęce. Tak jedno z drugiem złączywszy, nie spuszczając zresztą z oka i możliwych różnic epoki, odnieść to potem i do wypadków, które będąc zgoła analogiczne, doszły nas w całej swej masie tylko w samych tekstach dyplomatycznych — bez podobnych objaśnień...

Czy posiadamy taki piśmienny zabytek? — Niewątpliwie posiadamy, jeden jedyny w piśmiennictwie, a nieobliczonej ważności. Wie o nim każdy z naszych pisarzy, zajmujących się dawniejszemi dziejami, każdy go czytał, niejeden o nim wspomina jako o »nieocenionem źródle do poznania stosunków społecznych w Polsce XII i XIII w.«. Pomimo tego jednak nikt dotąd tego źródła w kierunku tu określonym nie wyzyskał w takiej mierze, jak na to zasługuje i nalegliwie samo się tego domaga. Mówię o publikowanym przez Stenzla jeszcze w r. 1854 *Liber fundationis claustri s. Mariae virginis in Heinrichow.*

Klasztor Cystersów w Henrykowie nad rz. Oławą na Szląsku, około 10 mil z południa od Wrocławia, w Münsterberskim (dawniej Ziębickim) powiecie, został założony w r. 1227. Trzeci z kolei opat tego klasztoru, imieniem Piotr, który patrzał na jego założenie i był jednym z pierwszych zakonników, z Lubiąża przysłanych na objęcie go w posiadanie w roku rzeczonym, zostawił rodzaj pamiętnika w przedmiocie uposażenia tego kościoła. Ten pamiętnik, kontynuowany po jego śmierci (zaszłej r. 1269) przez innych henrykowskich księży, ocalał do czasów naszych. Wydobył go Stenzel z ukrycia między różnymi papierami w miejscowym poklasztornym kościele. Jest to książka pergaminowa niewielkich co do formatu rozmiarów, obejmująca 52 karty. Pierwsza jej część, pisana przez tego opata Piotra, mogła powstać w latach 1266—1269. Dalsze partye pochodzą z XIV już wieku i te nas tu już obchodzić nie będą. Tak Piotr, jak i dalsi autorowie, byli narodowości niemieckiej.

O wypadkach historycznych, o zajściach, które na los całego kraju wpływ wywierały, nie znajdziemy ani słowa w tej książce. Uwzględnia wyłącznie sprawy klasztoru, a w szczególności kwestyą jego majątkową. O każdej wiosce, o każdym łanie pola lub lasu rozpisuje się najdokładniej, kiedy i w jaki sposób nabyło go zgro-

madzenie zakonne, kto go dawniej posiadał, jak się nazywał, co to był za człowiek, za jaką kwotę sprzedał go kościołowi, jeżeli to był kupny nabytek, a w jakich okolicznościach go podarował, jeśli to była ofiara. Wszystkie dalsze potem o te kupna lub dary zatargi, reklamacye, procesy, bądź to z dobrym skutkiem przeprowadzone, bądź z stratą, odprzedaże, zamiany dobrowolne i przymusowe — słowem dzieje całe tych wszystkich, mniej więcej w obrębie jednej mili kwadratowej w okół Henrykowa leżących osad, posiadanych przez konwent, wszystko to z najdrobniejszymi szczegółami nie tylko tu opisane, ale po największej części i obłożone dokumentami. A cel tej całej pracy ten, ażeby bracia zakonni i w przyszłych generacyach dokładnie znali te wszystkie antecedencye i mieli w ręku każdej chwili gotowe środki obrony swego majątku, ilekroć zajdzie jaka tego potrzeba. Opowiadanie sięga nieraz aż w czasy rządów Bolesława Wysokiego, a nawet przed nim, więc głęboko w wiek XII, a opiera się na tradycyi, wziętej z ust ludzi, którzy pamiętali te czasy i w wieku już swoim sędziwym należeli do codziennych gości refektarza henrykowskiego. Dalsze koleje opowiada nam nasz opat na podstawie własnej osobistej już znajomości stosunków i zdarzeń, z dyplomatyczną ścisłością, a jak ze wszystkiego widać, i z rzadką w takich pismach miłością prawdy. Chodziło bo też autorowi nie o wprowadzanie w błąd swoich braci, ale o praktyczne cele.

Przewijają się w tym całym wątku egzystencye najrozmaitszego stanu. Panujący książęta, biskupi, księża, komesowie, *milites*, *militelli* (jak ich nazywa), a i na takich nie zbywa, którym się zdawało, że są milesami, dalej sołtysi — i zwykłego potulnego usposobienia i już wdzierający się w atrybucye rycerskie — niemniej *rustici* wszelakiego odcienia, więc *rustici* na całej wiosce, na żrebiu, na niewielu morgach — *heredes*, to żyjący we wspólności majątku, to wydzieleni, — *coloni*, *camerarii* i wszystka niższa hołota. Ludzie rządni i utracyusze. Tych niestety między Polakami i wtedy było najwięcej. Dobre słowo daje autor mało której z tych wszystkich osób. Nie czyni tego jednak dla tego, że jest Niemiec. Mówi nieraz i o osadnikach niemieckich, wszelako ci w pewnych razach jeszcze gorzej niż Polacy na tem wychodzą. W ogólności widać z wszystkiego, że jeżeli chodzi o poziom obyczajowy, to niewesołe to były czasy...

Otóż sądzę, że nie będzie bez interesu naukowego, jeżeli niektórym z tych tak różnych figur nieco uważniej się przypatrzymy. Wyższe stany tu pominę — zajmę się tylko okazami z tej klasy, o którą jedynie mi dzisiaj chodzi.

Kwiatek. Zacznijmy rzecz od samej rezydencyi klasztoru, od Henrykowa — i od człowieka, z którego opowiadań większa część tego wszystkiego pochodziła, co tu o najdawniejszych czasach tej okolicy czytamy.

Miejscowość Henrykowo istniała jeszcze przed sprowadzeniem konwentu w to miejsce, obejmowała jednakże z razu mały

tylko działek *(sors)* niejakiego Henryka, zapewne włodyki, a może człeka dopiero wchodzącego w ten zawód; raz go bowiem księga nasza zowie *militellus*, drugi raz »takim, co się miał za rycerza«[1]), co mu się zdało, że jest rycerzem. Między r. 1210 a 1220 kupił od niego te grunta tamtoczesny kanclerz księcia Henryka Brodatego, imieniem Mikołaj, człowiek stanu duchownego, wtedy jeszcze bardzo małej fortuny, i następnie poprzyłączał do tej parceli, od owego Henryka nabytej, różne inne posiadłości sąsiednie, stojące po największej części wtedy pustką lub też pomimo znacznego nieraz obszaru zostające w ręku rodzin tak podupadłych, że je można było stargować za bezcen. Od tego czasu cały ten kompleks gruntów, skomasowanych w jednę wieś z parafialnym kościołkiem *(Lib. fund.* str. 27), otrzymał nazwę Henrykowo, od owej pierwotnej szczupłej posiadłości przybraną. W r. 1227 stanie tu klasztor, założony przez właśnie tego Mikołaja kanclerza.

Jedną z owych przedtem osobnych, a teraz do terrytoryum henrykowskiego wcielonych gruntów, była pustka, a kiedyś osada, która się zwała Głąbowice. Należała do rodziny z stanu t. zw. dziedziców *(heredes)*, t. j. do wnuków i prawnuków niejakiego »włościanina książęcego« *(rusticus ducis*, str. 40) imieniem Głąba. Pod koniec wieku XII rej wodził i ton nadawał w tych Głąbowicach *quidam rusticus ceteris potentia eminentior* (str. 41), który był w prostej linii wnukiem owego Głąba, a zwał się Kwiatek. Ten z powodów, o których niżej, porzucił wraz z całą rodziną owę osadę i przeniósł ją w inne miejsce głąbowickiego obszaru, t. j. założył nową wioskę, która w mowie okolicznej ludności, a i w księdze niniejszej miewa nazwę dwojaką: po dawnemu Głąbowice (bo w niej potomki Głąba osiadły) i Kwiatkowice, gdyż pod przewodem owego Kwiatka powstała. Otóż postać tego Kwiatka warta bliższej znajomości. W młodszych latach działo mu się niezgorzej. Musiał to być człowiek, który nie z jednego pieca chleb jadał i (choć *rusticus)* nie samym tylko pługiem się parał, skoro na starość nie tylko u niemieckich księży w klasztorze henrykowskim, ale i na dworze książęcym był zawsze mile widziany, a facecyami swojemi i sowizdrzalstwem rozweselał Henryka Brodatego: w skutek też czego był przez dwór cały książęcy »nade wszystkich krewnych swoich lubiony« *(diligebatur)*. Nazywano go wtedy już Kika; był bo też istnym kikutem: jednę rękę miał do szczętu odciętą, a drugą tak mieczem skiereszowaną, że całkiem władzę straciła. To też nie dziw, że ten, za czasów jeszcze pierwszego henrykowskiego opata[2]) już »bardzo stary« człowiek, spędzał ostatnie dni swego życia w prawdziwym niedostatku. Żył prawie tylko z miłosierdzia klasztoru. Animuszu mu jednak ani wiek ani

---

[1]) Qui se pro milite habebat. Liber fundat. str. 16.

[2]) Nazywał się ten pierwszy opat Henryk; zszedł z świata około r. 1238.

bieda nie umniejszyła. Za gościnność odwdzięczał się Cystersom niewyczerpanem opowiadaniem o najdawniejszych stosunkach całej tej okolicy, której każdy punkt i to co się na nim działo, było mu wiadome i w pamięci przytomne. Ale i czemś innem jeszcze zostawił on po sobie wdzięczne i trwałe w klasztorze wspomnienie. »Módlcie się następcy nasi za tego rustika Kwiatka« — pisze opat w tej swej księdze, a pisze to miejsce pismem wybitnem, czerwonem (p. 42). »Albowiem wiedzieć wam należy, że ta cząstka Głąbowic, gdzie teraz nasz dworzec stoi, i cały las Bukowiną zwany, przez niego to *(per eum)* po napadzie pogan dostały się w posiadanie klasztoru«. A więc po roku już 1241 a przed 1245, w którym ten Kwiatek zszedł z świata (str. 41), musiały Kwiatkowice z jego ręki albo pośrednio za jego sprawą przejść na własność zakonu. Bo że przez »cząstkę Głąbowic« nie co innego tu rozumiano, jak Kwiatkowice, to nie podlega wątpliwości. O jednę stronicę wyżej (p. 41) dokładnie powiedziano, że właśnie na miejscu Kwiatkowickiej osady stanęła *curia claustri*. Szkoda wielka, że się nie dowiadujemy, w jakiej formie się dokonało to zaokrąglenie posiadłości klasztornych i jaki w tem osobisty udział miał Kwiatek. Miało to być w innem miejscu osobno opowiedziane w tej księdze, ale do tego nie przyszło[1]). Tyle jednak będzie pewnem, że Kwiatek co najmniej był darodawcą swej własnej tam cząstki gruntów i że więc miał pełne prawo nią rozporządzać. A jeśli z tem porównamy tę jego sowizdrzalską swobodę w obec samego księcia Henryka i tę pewną ogładę i względną intelligencyą, niemniej jego okaleczenie z pewnością nie z bójki w karczmie wynikłe, skoro ręka mieczem była zrąbana *(gladio laesa)*, nakoniec i owę *potentia*, jaką za lepszych swych czasów nad drugimi wywierał w całej osadzie: to się zapewne niejeden z mych czytelników na to zgodzi, że ten *rusticus*, ten wieśniak, jakoś bynajmniej na chłopa przywiązanego do gleby, pozbawionego pełnej wolności, skazanego tylko na rolną pracę na obcym gruncie nie patrzy.

Głąbowicowie. Lecz idźmy dalej. Powiedziałem wyżej, że osada czasem Głąbowicami, zwyklej Kwiatkowice zwana, na miejscu której później (po roku 1241) stanął dworzec klasztorny, została tu założona dopiero przez Kwiatka, poprzód zaś leżały Głąbowice gdzieindziej. I ta rzecz warta, żeby jej się bliżej przypatrzyć. Właściwie zwano z dawien dawna Głąbowicami nieokre-

[1]) Na str. 46, poczynając nowy rozdział nasz autor, zapowiada, że będzie w nim mówił o trzech nabytkach. *De particula Glambowicz, quae data est post paganos*, miało stanowić przedmiot z kolei drugi w tej trójce nowych akwizycyi. Po wyczerpnięciu rzeczy o pierwszym nabytku (p. 59) pozostawiono więcej niż całą jednę stronicę w księdze próżną, oczywiście dla opisu, jak klasztor dostał Kwiatkowice. Na dalszej poczyna się już wykład o trzeciej materyi. Dla czego tamtej karty już nigdy później nie zapisano — nie wiedzieć.

ślony dokładnie, ale bardzo rozległy obszar bukowego lasu w tej okolicy[1]), nadany, jak ta księga powiada, przez Bolesława Wysokiego *rustico suo proprio*, więc włościaninowi książęcemu Głąbowi (str. 40). Od imienia tego Głąba otrzymał ów las tę nazwę. Szląsk bowiem w owych czasach, przynajmniej w tych tu nad czeską granicą położonych powiatach, miał tworzyć jednę ciągłą puszczę lesistą, zaledwie tu i owdzie ożywioną siedzibami mieszkańców. Więc książęta w owych latach hojną ręką wydzielali na folwarki *(praedia)* i na dziedziny *(hereditates)* przestrzenie całe, a to tak znaczniejszym osobom, jak i pośredniego staniku *(mediocribus)* (str. 60). Nie od rzeczy będzie zrobić tutaj uwagę, że występujący tu Głąb, jeżeli rzeczywiście jemu to dopiero była nadana własność owego lasu, to go musiał chyba dostać od którego z poprzednich panujących, a nie dopiero od Bolesława Wysokiego, był bowiem o całą jednę generacyą dawniejszym od niego[2]). Lecz to uwaga

---

[1]) Zliczywszy wszystkie, później wykrojone z tego lasu posiadłości i jako takie wspomniane w niniejszej księdze, śmiało oszacować można cały obszar posiadanego przez Głąba gruntu na jakie 20 włók czyli łanów.

[2]) Dla autora tej księgi najdawniejszą, do jakiej zdołał się cofnąć, epoką wstecz, było panowanie Bolesława Wysokiego († 1201 r.). Poprzednie czasy leżą dla niego już po za widnokręgiem pamięci i wiedzy. Taki też powód i tego odniesienia Głąba do rzeczonego książęcia. Czas życia tego wieśniaka przypada niewątpliwie na rządy jeszcze Bolesława Krzywoustego i nietrudno tego dowieść. Wiemy na pewno o Kwiatku, że był wnukiem Głąba i że umarł w czwartym roku po napadzie Mongołów, a więc w roku 1245, w bardzo już późnym wieku (valde antiquus). Powiada to opat Piotr, który i sam wtedy, kiedy to pisał, miał już jakie 60 lat. Skoro bowiem w roku fundacyi klasztoru t. j. 1227, był już księdzem, z lubiąskiego konwentu Cystersów przysłanym z kilku innymi do objęcia zarządu nad tym świeżo powstałym klasztorem, więc rok jego urodzenia przypaść musiał co najmniej na sam początek XIII stulecia. A pisał ten swój pamiętnik między r. 1266 a 1269, w którym umarł. Ludziom młodym wydaje się nieraz i człowiek np. 60-letni już bardzo podeszłym starcem. Jeżeli jednak nasz autor, sam tak sędziwy, w taki się sposób o Kwiatku wyraził, to musiał tenże umierając liczyć około siedmdziesiątki. Jeżeli tak, to się urodził około r. 1175. Jego ojciec, nieznany nam z imienia, być może że się nazywał Konkoder, niechby w czasie narodzenia Kwiatka był miał lat około 30, to się urodził w roku w przybliżeniu biorąc 1145. Tego zaś ojciec (Głąb), jeżelibyśmy nawet przypuścili, że już w swym 25 roku chrzciny synowi swemu wyprawiał, rodzić się musiał co najpóźniej około r. 1120. Tak więc najlepszą część życia było dano Głąbowi spędzić za rządów jeszcze Bolesława Krzywoustego. I jeżeli Głąb dopiero, a nie jaki już przodek jego tegosamego imienia był pierwszym posiedzicielem owego lasu, to go chyba dostał od tego monarchy albo od jego syna Władysława Wygnańca, a nie od Bolesława Wysokiego, który dopiero r. 1163 wstąpił na tron.

P.A.M.

uboczna, która głównej rzeczy nie zmienia. — O ile wnosić, prowadził Głąb w tym swym lesie gospodarstwo przeważnie pasterskie. Wykarczował sobie spory w nim kawał gruntu, jednakże nie na pole pod siew, ale na łąkę, i nazywała się ta parcela wtedy Wielałąka (p. 40). Przy tej zatem Wielejłące musiała leżeć gdzieś siedziba ówczesna Głąba i jego rodziny — Głąbowice w ściślejszem znaczeniu. — Po zgonie ojca gospodarzyli na temże miejscu czas jakiś jego synowie, a po nich wnuki; potem jednak nastąpiły przykre dla nich okoliczności. Dokuczał im niepomiernie jakiś możnowładny sąsiad. Kwiatek tego już nie pamiętał, jak on się zwał — miał to być »dziad niejakiego Mojka« (str. 41). Opresyi tego napastnika nie chcąc znosić dłużej ci ludzie, wynieśli się z ruchomościami swemi, a pewnie i z budynkami z tej okolicy[1]), i pod przewodnictwem Kwiatka poszukali sobie siedziby w pobliżu gdzieindziej, założyli owę osadę, której położenie i nazwa już nam są znane. To przesiedlenie, o ile z opowiadania wnosić możemy, odbyło się zupełnie samowolnie, a bez niczyjego zaprzeczenia im prawa do tego. Przynajmniej nie wzmiankuje nic o tem księga, żeby czy to na porzucenie dawnej siedziby, czy na założenie nowej, było od księcia lub od kogokolwiek innego zezwolenie potrzebne i otrzymane[2]). — Opustoszałe w ten sposób miejsce (fakt ten mógł zajść w ostatnich 10 lub 20 latach XII stulecia) stało przez czas długi pustkowiem. Między rokiem 1215 a 1220 zajął je za zezwoleniem Henryka Brodatego jako niczyją własność kanclerz książęcy Mikołaj i wcielił je do swojej, już wtedy skommasowanej wsi, w której w r. 1227 osadził Cystersów. — Dopóki żył ten fundator klasztoru, nikt nie śmiał ani jemu ani zakonnikom zaprzeczać prawa do Głąbowic, bo to był człowiek potężny. Ale już w kilka miesięcy po dokonanej fundacyi zakończył kanclerz Mikołaj życie. — Mieszkał w pobliżu, o dobrą milę od Henrykowa, pewien rycerz *(miles)*, Stefan Kobyla-głowa zwany, a to od wsi tego nazwiska, którą po-

---

[1]) Że w owym czasie było zwyczajem uskuteczniać takie przenosiny wraz z budynkami, opowiada nasza księga z okazyi innego zajścia, zdarzonego w r. 1305, na str. 102.

[2]) Ostrzec tu muszę jednakże czytelnika, że jeżeli powiadam, iż to sąsiad Głąbowiców ciemiężył, to tylko z mego domysłu. Księga bardzo lakonicznie się o tem wyraża. Postmodum vero heredes ejusdem rustici, ab avo cujusdam Moykonis in illo loco oppressi, transtulerunt se ad montem, ubi nunc pomerium juxta curiam claustri consistit. To już wszystko. Byćby więc mogło, że stosunek Głąbowiców do tego ciemięzcy był całkiem inny, a w takim razie wzmianka niniejsza pod względem społeczno-historycznym miałaby nierównie więcej znaczenia. — Kto zaś był ten »quidam Moyko«? — Za Henryka Brodatego piastował jakiś »comes Moyco« kasztelanią głogowską (Lib. fund. dokum. z r. 1239, nr. VI). Może to ten?

siadał. Pożądliwem on okiem nie od dzisiaj spoglądał na ten las, posiadany przez mnichów, i tylko czyhał na sposobność, żeby go sobie przywłaszczyć. Ta sposobność się nadarzyła z śmiercią kanclerza. Cóż tedy robi nasz Stefan? Podbechtuje osiadłych tuż przy jego Kobylej-głowie »dziedziców« cienkowickich, *heredes de Cenkowitz*, którzy się zwali Piroszewice, a to od dziada swego Pirosza, ażeby ten las jako dziedziczną swoję własność odebrali Cystersom. Jakoż już w roku następnym (1228) występuje przed księciem Henrykiem Brodatym cała ta rodzina gromadnie i »jako właśni książęcy *rustici*, a i bogaci i dziedzicami cienkowickimi będący«, zagadują go temi słowy: »Książę panie *(domine dux)!* Ten las został nam wydarty przez prepotencyą księdza Mikołaja, twego pisarza! My to jesteśmy, którzy dziedzicznem prawem powinniśmy, *si est gratia tua*, odzyskać tę naszą własność! Bo stary Głąb był brat rodzony Pirosza, a Pirosz był naszym dziadem«. — Twierdzenie to albo musiało być (co do braterstwa Pirosza z Głąbem) kłamliwe, albo nieuzasadnione — nieuzasadnione o tyle, że skoro Głąb, a nie brat jego Pirosz, został obdarzony tym lasem, zatem nie Piroszewicowie mogli uchodzić za spadkobierców po Głąbie, lecz Głąbowicowie kwiatkowiccy tuż przy Henrykowie osiadli, którzy wszelako wcale wtedy nie dbali o ten swój spadek. Książę jednak, jak sam później rzecz tę przedstawia w dokumencie odnośnym (*L. f.*, nr. III na str. 150), dał się otumanić obcesową tą reklamacyą. Uwierzył Piroszewicom »jako swoim własnym rustikom«[1]), i oświadczył, że las ów jako nieprawnie posiadany klasztorowi odbiera i przyznaje go prawym Głąba potomkom. — Na to tylko czekał Kobyla-głowa. Staje przed księciem i cudnego rumaka mu ofiaruje, wartującego dobrze jakie 28 grzywien srebra. Książę uradowany tym darem, »żądaj ode mnie, zawołał, czego chcesz, a niczego ci nie odmówię«. Na to Stefan: »O panie! Ty wiesz, że ci zawsze chętnie służę, ale mam posiadłość szczupłą! Gdybyś ten las, który teraz przeszedł w twoje ręce, mnie podarował, toż dopiero zacząłbym ci wybornie służyć«! (Zdaje się, że równocześnie otworzył też oczy księciu na to, że uroszczenia Piroszewiców żadnej prawnej nie miały podstawy). Zaczem książę przyzwał przed siebie owych wieśniaków i oświadczył im bez ogródek, że las nie im, ale Kobylej-głowie daje. — Pomijam dalsze dość szczegółowe opowiadanie o kolejach, jakie przechodziła ta sprawa. Poprzestanę na naznaczeniu, że ostatecznie zakończyła się po słuszności. Z je-

---

[1]) Zwracam tu czytelnika uwagę na to dwa razy na str. 42 powtarzające się, z widocznym przyciskiem powiedziane »rustici proprii ducis«. Ten ich do księcia stosunek ośmielał ich do reklamacyi, w takich słowach wyrzeczonej. Ten stosunek zjednał im u księcia wiarę... Autor niezaprzeczenie podnosi przez ten epitet »proprii«, położenie społeczne tych ludzi, a nie żeby ich zniżał na coś gorszego, na poddańców książęcych, jakby się to zdawać mogło ze znaczenia tego wyrazu »proprius«.

dnej bowiem strony klasztor nie mógł przeboleć swej krzywdy. Z drugiej strony nie miał i Stefan pożytku z tej darowizny. Jeżeli ów las miał przynosić jakie korzyści, to trzeba się było w nim rozgospodarzyć, zaludnić go siłą roboczą, a nasz *miles* nie miał na to potrzebnych środków, »bo biedny był«. Stał więc ów obszar przez lat kilka pustkowiem — szukano na niego kupca, lecz w owych czasach o takie rozłogi bezludne nikt nie dbał (p. 42). Skończyło się ostatecznie więc na tem, że w r. 1234 klasztor zwrócił Kobylej-głowie owe 28 grzywien za konia darowanego księciu i powrócił w posiadanie swej prawowitej własności, zwanej odtąd Bukowiną (str. 44). — Ale i na tem nie koniec! W przeszło 60 lat później, w r. 1296, pojawił się pewien tym razem już rzeczywisty potomek starego Głąba, jego w prostej linii praprawnuk, imieniem Mikołaj. Albowiem pradziadem tego Mikołaja, a synem Głąba był Konkoder, a Konkodra syn zwał się Michał, a ten był dziadem tegoto Mikołaja. Ten tedy człek, pomimo że był (jak to księga podnosi) ubogi i bez żadnych środków na prowadzenie procesu, i nie zważając ni na to, że w posiadaniu Bukowiny przez klasztor dawno zaszło przedawnienie, zaczął się przed urzędami odgrażać, że będzie przeciw klasztorowi dochodził praw do tej swej ojcowizny. Dla świętego spokoju i z uwagi, że lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces, wypłacono reklamantowi tytułem odczepnego 2 grzywny srebra i tą kwotą umorzono jego pretensye. Zezwolił wtedy dopiero ów wieśniak na wystawienie publicznego w kuryi książęcej dokumentu, mocą którego w swojem własnem i spadkobierców swoich imieniu zrzekł się praw wszelkich na przyszłość do niepokojenia Cystersów o tę posiadłość. (*Lib. fund.* str. 192, dyplomat z r. 1296 nr. 42).

Po tem wszystkiem niech mi się godzi zapytać, czy to może uchodzić za prawdę, że t. zw. *rustici ducis*, inaczej nazywani »dziedzicami«, nie byli niczem więcej, jak tylko dziedzicznymi ze swych gruntów czynszownikami, a rzeczywistego prawa własności do swych dziedzictw nie posiadali? A cóż dopiero powiedzieć o owych innych w obiegu będących teoryach i hypotezach co do położenia społecznego ludzi tej klasy.

Żukowicowie. Do tychsamych dochodzimy wyników i wobec wszystkich innych, tej klasy ludzi dotyczących miejsc w tym pamiętniku klasztornym. Nie wszystkie wprawdzie mają tyle dla nas interesu, co tamten wywód, warto jednak i mniej ważne omówić choćby pokrótce.

Tak np. osada *Sucowiz* (Żukowice?), wspomniana tu na str. 16. Dziś ona już nie istnieje i niewiadomo, jak się zwała: Żukowice, Zuchowice czy Suchowice. Leżała właśnie w miejscu, gdzie zbudowano sam gmach klasztorny. W owych czasach, kiedy znany nam już kanclerz Mikołaj zaokrąglał swoje Henrykowo, stały Żukowice już pustką i to był powód, że przyłączył on za przyzwoleniem książęcem i tę miejscowość do swej wsi. Kiedyś dawno jednakże roiła się i ta dziedzina ludnością. Siedzieli w niej wieśniacy,

znowuż nazwani *rustici ducis*, i posiadali sporą przestrzeń ziemi *(bonam terrae quantitatem)*, a dwaj z nich, Krzepisz i »Such« (może Żuk? Zuch?) »górowali nad drugimi potencyą«. Trzeba było, że właśnie ci dwaj prewodyrowie osady pokłócili się ze sobą. W bójce zabił jeden drugiego, tak iż zginęli obydwa. Po tem zajściu cała reszta osady rozpierzchła się *(dispersi sunt)* w różne strony. Zostało tylko niebo i ziemia. — A zatem, choć *rustici ducis*, nie byli to poddańcy przytwierdzeni do gleby. Poszli, gdzie im się podobało i nikt im tego nie bronił. Księga nie użyła tu wyrazu »zbiegli, uciekli«, owszem mówi o tem zdarzeniu jako o rzeczy powszedniej.

Kołaczowicowie. Wspomnę jeszcze o Kołaczowie (str. 17). I tej osady niema już z dawien dawna. Nazywano tak »w starych czasach«, powiada nasz opat, rozległy obszar leśny, w obrębie którego później (jeszcze w wieku pewnie XII) powstały aż 4 wsi: Skalica, Radzice, Witostowice i Jaworowo — wszystkie nie bardzo od Henrykowa odległe. Otóż nad tym całym kompleksem, *per multa nemora in circuitu et silvas*, panował *(dominabatur)* czasu swego stary *rusticus ducis*, nazwiskiem Kołacz, i siedział w grodzie *(castellum)* po za rzeką Oławą. (Pytam się, czy ten Kołacz, rezydujący w grodzie i dominujący nad takim obszarem, wygląda na książęcego poddańca, na niewolnego człowieka). Zszedł z świata w bardzo późnej starości. — Za czasów kanclerstwa Mikołaja, późniejszego fundatora Cystersów, mieszkało jeszcze potomstwo Kołacza, oczywiście nie synowie jego, lecz generacye już dalsze, w rzeczonym grodzie, lecz wiodło im się już wtedy źle: zubożeli, podupadli, własności też ziemskiej niewielka już wtedy ilość zostawała w ich rękach. A że kanclerz i tej części dawnej Kołaczowszczyzny potrzebował do zaokrąglenia swego majątku, więc bez wielkiego trudu, »z ich dobrą wolą, dawszy im odpowiednie wynagrodzenie«, eliminował ich z tego miejsca i przyłączył te grunta do Henrykowa[1]).

Bobolice. Do tejsamej klasy ludzi należeli i bobolliccy dziedzice *(heredes de Bobolic*, str. 24). Wieś Bobolice leżała także gdzieś w pobliżu Henrykowa, obecnie ani śladu po niej. Siedziała tam cała gromada rodzin, złączonych z sobą rodowym węzłem *(cognatio)*. W pierwszym roku panowania Henryka Pobożnego (1239—41) dopuściło się czterech z pomiędzy tych krewnych: Przybysław, Wojsław, Boguchwał i Gostach — rozboju. Oskarżeni i przekonani o zbrodnię, zostali skazani na szubienicę. Na mocy

[1]) Eliminacyą zwie nasza księga to, co właściwie ten wyraz znaczy: spowodowanie kogo, żeby się przeniósł gdzieindziej, ale bez krzywdy, bez gwałtu i za odpowiedniem wynagrodzeniem. Porównaj np. str. 37 i nast., fakt z r. 1254. Nazywają jednak inne źródła eliminacyą niekiedy i brutalne, nieprawe wywłaszczenia włościan. Jest to w takich razach eufemizm i tylko upozorowanie bezprawia, którego przykładów w wieku zwłaszcza XV nie brak.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

prawa polskiego mogli się oni wprawdzie wykupić od śmierci karą pieniężną, ale cóż, kiedy nie mieli pieniędzy. Zatem zadecydował książę Henryk, żeby ich dziedzictwa wystawić na sprzedaż i ceną kupna tę karę pokryć. Najbliższe prawo do nabycia tych gruntów służyło krewnym skazańców; ci atoli oświadczyli, że nie mają ich za co kupić i że niech je sobie kupi, kto zechce. (Więc zrzekli się swego prawa). Wtedy sam książę namówił zwierzchność klasztorną, by te ziemie, tak bliskie Henrykowa nabyła. Tak się też stało, kupił klasztor tę część Bobolic za 19 grzywien sr.[1]). Tą kwotą zostali wykupieni owi zbrodniarze od śmierci. Dokument z r. 1239, wystawiony z okazyi tego zdarzenia, dołączył autor księgi w autentycznem i całkowitem brzmieniu do niniejszego wywodu (str. 24 i nast.). — W niewięcej jak 8 lat później żal się zrobiło pozostałym dziedzicom bobolickim, że taki ta rzecz wzięła obrót, i zapozwali Cystersów przed sądy o ten nabytek jakoby posiadany nieprawnie, albowiem oni mają bliższe prawo do niego, będąc »braćmi« owych skazańców. Rzecz przyszła przed sąd baronów — obronę zaczepionego zakonu wziął na siebie sam książę już wtedy panujący, Bolesław Łysy, zdawszy prezydencyą sądu przez tę chwilę komu innemu. Wygrał proces, ale tylko z tego tytułu, że wtedy, kiedy te grunta były wystawione na sprzedaż, bobolicey heresowie nie chcieli ich kupić, zatem za ich przyzwoleniem wszedł klasztor w ich posiadanie. Dyplomat urzędowy na to wystawiony z r. 1247 także tu jest dołożony do tekstu (str. 26).

Nastręczają się tu następujące uwagi. 1. Gdyby owi czterej *heredes de Bobolic* byli mieli na swych gruntach (rzekomo książęcych) tylko czynszową »osiadłość«, a nie istotne dziedziczne prawo własności, a cóż dopiero gdyby to byli niewolni poddańcy książęcy, w takim razie byłby książę zrobił krótki z nimi proceder i nie byłby potrzebował sam szukać kupca na grunta s w o j e, lecz byłby je skonfiskował lub osadził kim innym. 2. Gdybyśmy sobie wystawiali, że to były grunta właściwie książęce i czynszowe, to klasztor nabywając takowe, byłby co do nich zajął takiesamo położenie względem księcia Henryka, w jakiem aż dotąd zostawali dawniejsi posiedziciele. Tak się wszelako nie stało. Ta część Bobolic stanowiła w rękach klasztoru równie dobrą jego własność, jak wszystkie inne wsi do Henrykowa należne. A zatem i owi skazańcy byli prawdziwymi onych właścicielami. Żeby zaś było to skutkiem jakiejś może prerogatywy pozyskanej przy kupnie, o tem nie mówi dokument, a z pewnością nie pominiętoby tego milczeniem. 3. Reklamacya podniesiona później przez braci owych szubieniczników nie byłaby mogła być przedmiotem rozpatrywania przed sądem baronów i to

[1]) W owym czasie wartość łanu w tej okolicy, jak z różnych miejsc Libri fundationis wynika, wynosiła odpowiednio do dobroci gleby od 7 do 12 grzywien srebr. W najlepszym zatem razie część ta Bobolic kupiona wtedy za 19 grz. mogła trzymać dwa a najwięcej trzy łany.

tak, że aż sam monarcha w roli tu adwokata wystąpił, gdyby strona pozywająca była należała do klasy ludzi w prywatno-prawnym sensie księciu podwładnych, a nieposiadających właściwego w pełnym sensie prawa własności. — Te wszystkie okoliczności tak biją w oczy, tak obalają całą teoryą obiegową co do znaczenia »heresów«, że ażeby trudność obejść, chciano w tych bolickich zbójach upatrywać szlachtę, a już co najmniej włodyków[1]). Na to jednak nie dostarcza nasza księga ani cienia dowodu. A to, że ich do klasy *heredes* zwanej zalicza, i cały przebieg wypadku, niemniej i ton w jakim to opowiedziane, dowodzi rzeczy przeciwnej. »Prawo bliższości« w sprawach spadkowych, do którego się tu odwoływano, niczego nie dowodzi na korzyść tego wybiegu. Prawo bliższości było tak dobrze prawem szlachcica albo włodyki, jak i prostego człowieka, jeżeli tylko był wolnym i od nikogo w prywatno-prawnym sensie niezawisłym krajowcem. Widzieliśmy to na Piroszewicach, widzieliśmy na owym Mikołaju, potomku Głąba, który r. 1296 niepokoił Cystersów o część Głąbowic, a niżej ujrzymy i więcej takich przykładów.

Skalice. Ażeby na nie długo nie czekać, zróbmy już tutaj znajomość z dziedzicami skalickimi (*heredes de Skaliz*, str. 27 i nast.). — Nadmieniłem gdzieś wyżej, że w obrębie owych borów i lasów, nad którymi stary Kołacz niegdyś »panował«, a zwały się Kołaczowo, stanęły w dalszych po nim pokoleniach aż cztery osobne wioski: Witostowice, Jaworowo, Skalica (może raczej Skalice) i Radzice (str. 17). Co do Witostowic, tyle tylko wynika z tej księgi, że tę nazwę później zmieniono na Jansdorf (str. 145). Jaworowo, miejscami zwane i Jaworowice, dziś podobno Jaurowitz, było w środka XIII w. książęcym folwarkiem (*praedium*) i obejmowało 16 małych łanów gruntu (str. 32 i 36). Radzice były ojcowizną »dziedziców« i poznamy się z niemi niżej. Do tejże kategoryi »dziedzin« należały i Skalice, o których tu mówić mamy, nazywane w księdze Skaliz, w dokumentach z środka XIV w. już przechrzcone na Stein, a później nie wiem dla czego na Reumen (pod Münsterbergiem). W owych latach, kiedy Henrykowo było jeszcze zwykłą wioską z prostym parafialnym kościołem, żył przy nim jako pleban ksiądz — i ten imieniem Mikołaj, rodem ze Skalic. Posiadał on tam w Skalicach wespół z bratem swoim rodzonym Stefanem prawem dziedzicznem spory kawał (1/3) skalickiego obszaru, podczas gdy reszta gruntów należała do jakiej może piętnastki osobnych rodzin, które i pomiędzy sobą i z tymi dwoma braćmi były rodowo spokrewnione (str. 30). Na pytanie, które się tu samo nastręcza: czy te rodziny pochodziły z pokolenia pierwotnego właściciela tych dóbr, t. j. Kołacza? księga nasza nie daje odpowiedzi. — Całe terytoryum skalickie, jak się to niżej okaże, mogło trzymać około 25 łanów. Trzecia część tej przestrzeni,

[1]) Dr. Piekosiński, Obrona hypotezy najazdu, str. 125.

a więc jakie 8 włók, należała do rzeczonych dwóch braci; pomimo tego powodzenie ich majątkowe niedomagało. Pleban Mikołaj wprawdzie miał się jako tako, bo pobierał dziesięcinę z całej niegdyś Kołaczowszczyzny i z Henrykowa; ale Stefan, człowiek świecki, żył w biedzie *(rebus temporalibus valde modicus fuit)*. Stan społeczny naszych braci określa dostatecznie stały im tu nadawany tytuł *heredes*. Żeby zaś komu nie przychodziło na myśl upatrywać w nich przecie szlachciców albo włodyków, nadmieniam już tu, choć to do późniejszych czasów należy, że potomkom tych ludzi ze Skalic służył w początku XIV wieku — wtedy dopiero zdarzają się częściej takie przy imionach osób dodatki — tylko epitet sławetny i roztropny *(discretus, providus)*, nie przystający jak wiadomo do innej klasy, jak do mieszczańskiej, a po za obrębem mieszczaństwa do tej właśnie warstwy, pomierny środek w społeczeństwie zajmującej. — Powstającą w r. 1227 w Henrykowie kanclerza Mikołaja fundacyą powitał nasz ksiądz Mikołaj z radością. Dziesięcina od wszystkich gruntów klasztornych spływała do jego stodoły. A ponieważ ziemski majątek tych zakonników, szczególnie w pierwszych czasach, rósł jak na drożdżach, więc i co do dziesięciny otwierały się przed naszym plebanem jak najpomyślniejsze widoki. Rzecze tedy pewnego razu do brata Stefana Mikołaj: Prebenda moja od czasu przybycia tu mnichów tak tłuście je, że zbiera mnie ochota darować moję schedę w Skalicach temu zakonowi na wieczną własność. Stefan częścią z nabożeństwa, częścią z rachuby, przystał na to postanowienie brata, a nawet dodał do tej ofiary i coś ze swego. W takich to okolicznościach stały się własnością Cystersów dwie trzecie części gruntów posiadanych przez tych braci w Skalicach, mniej więcej $5^1/_2$ łanów, a reszta tego dziedzictwa została przy Stefanie. Ofiara ta, po dokonaniu już rzeczy, została notyfikowana w r. 1233 księciu panującemu Henrykowi Brodatemu, bawiącemu podówczas w Niemczy; dokumentu na to jednak nie wystawiono, gdyż go klasztor wtedy nie żądał (str. 28). — Już w kilka dni po tem zdarzeniu spotkał naszych dobrodziejów klasztoru nieprzewidziany zawód i kłopot. Tak się bowiem rzeczy złożyły, że wizytujący właśnie swą dyecezyą biskup wrocławski Tomasz I, świeżo wtedy wyniesiony na tę katedrę i niebardzo obeznany ze stosunkami prowincyi (pono pochodził z Wielkopolski, z rodu Jelitów), zajrzał po drodze i do Henrykowa. A kiedy zakonnicy, jak to zawsze było u nich zwyczajem, zaczęli przed nim na swój wielki niedostatek wyrzekać i wygadali się z tem, że z swej chudoby uiszczają dziesięcinę swemu kapelanowi, przyzwał biskup księdza Mikołaja przed siebie, zgromił go za to, że śmie tak ubogi konwent obdzierać, i oświadczył, że od tej chwili musi to ustać. Biedny pleban zapomniał języka w gębie — nie odpowiedział na to nic. Ogołocony z dochodów, biedował tam tylko jeszcze dwa lata. Wreszcie zaniósł opatowi klucze od swej kaplicy, zrezygnował ze wszystkiego i poszedł w świat. Znalazł ostoję w Kamieńcu (dzisiejszy Camenz), gdzie wstąpił do zgromadzenia Kanoników reguły świętego

Augustyna. — Ten obrót rzeczy oddziałał oczywiście niedobrze i na dolę siedzącego na swoich $2^1/_2$ łankach w Skalicy brata plebanowego Stefana. Wyżyć mu z tej dziedzicznej parceli już było ciężko, walczył z losem przez parę lat — wreszcie zdecydował się sprzedać tę ziemię. Nabywcą — był znowu klasztor: dał mu za to 27 grzywien. To zaszło w r. 1239. Ale rządzący już wtedy konwentem drugi z kolei opat, imieniem Bodo, uznał tym razem za potrzebne, postarać się tak na to kupno, jak i na dawniejszą darowiznę o urzędowy akt. Wyprawił więc do Oleśnicy, gdzie wtedy młody władca tej części Szląska, Henryk II, właśnie przebywał, zakonnika swego Piotra (późniejszy opat i autor naszego źródła) wraz z owym Stefanem do księcia, by tam wszystko, jak się odbyło, po formie i zwyczaju zeznali i »notyfikując« rzecz urzędownie, zatwierdzenie na to dostali. Relator nasz jako świadek naoczny i główna działająca osoba opowiada przebieg tej audyencyi nie tylko z wszelkimi szczegółami, ale i dosłownie przytacza, co i jak tam przemawiali do księcia. Wynika z tego najniewątpliwiej, że nie chodziło im bynajmniej o to, by monarcha udzielił pozwolenie na tę alienacyą własności, ale żeby kupno *już zapłacone* i darowiznę *od lat już w posiadanie klasztoru wziętą* do wiadomości przyjął, w sensie publiczno-prawnym zatwierdził i dokumentem urzędowym na wieki wieków umocnił. Do czego się też Henryk bez żadnej trudności przychylił i »tejże godziny« kazał wystawić dyplomat, włożony w to opowiadanie w całej swojej osnowie (str. 30).

Jeżeli z tem porównamy, jakich to zabiegów, jakich forteli, jakich protekcyi wysokich czasu swego trzeba było zażyć kanclerzowi Mikołajowi, kiedy się nosił z zamiarem swojej fundacyi, żeby w szczęśliwej godzinie, przy dobrym humorze i po sutej biesiadzie skłonić księcia i pana swego do zezwolenia na tę fundacyą i na wyposażenie jej dobrami, które posiadał, co wszystko jak najdokładniej w odnośnem miejscu opowiada nasza księga (str. 5 i nast.): to przyjdziemy do przeświadczenia, że prawo tych »sławetnych«, jak ich później tytułowano, dziedziców do swych drobnych »dziedzictw« chyba jeszcze było warowniejsze, aniżeli prawo do dóbr sobie nadanych takiego dostojnika i potentata i ulubieńca książęcego, jakim był pod koniec życia fundator henrykowski. Lecz wróćmy do głównej materyi.

Pomimo że w przywileju co tylko tu wspomnianym z r. 1239 nie pominięto klauzuli, że alienacya tych gruntów w takich się dokonała okolicznościach, że raz na zawsze odjęte jest prawo krewnym pozbywców do odkupienia napowrót tej posiadłości: stało się jednak, że w 20 lat później, w r. 1259, syn jedynak owego Stefana, imieniem Jan, pokusił się o obalenie tego wszystkiego, co nieboszczyk ojciec i stryj jego zrobili. Tę reklamacyą swoję uzasadniał ten syn Stefana tym argumentem, że kiedy ojciec jego odprzedawał swój grunt Cystersom, on był maleńki *(parvulus)*, więc nie dał i nie mógł dać na tę sprzedaż przyzwolenia swego (str. 31).

Zamiaru odebrania ojcowizny wprawdzie nie dopiął, albowiem, jak sama ta księga nadmienia, był to niezasobny i mały człowieczek (*exiguus et rebus modicus fuit*). Opat jednak, pomimo tego, uznał za rzecz najmędrszą, nie wywoływać wilka z lasu i bez wrzawy zgodnie sprawę zakończyć. Przydzielił rzeczonemu Janowi na wieczną dziedziczną własność dwie małe włoki kmiece w innej wsi swego klasztoru, w lokowanym na prawie niemieckiem Schönwalde, jednakże zastrzegając w dokumencie odnośnym, że to są włoki wolne od czynszu i od wszelkich innych na rzecz klasztoru prestacyi[1]). Po takiej dopiero odprawie przyzwolił ów syn Stefana na umieszczenie w tym akcie klauzuli, że »w obec księcia i jego baronów, w swojem własnem i dziedziców swoich i współrodowych (*cognati*) swoich imieniu, zrzeka się wszelkiego prawa, jakie na dziedzictwie tem w Skalicach miał i mieć mógł« — formuła dosłownie tasama, jakiej szlachta używała alienując swe dobra. — Inne działki wsi Skalic, ale nie wszystkie, ponabywał klasztor od innych »dziedziców« z tej wsi przed rokiem i w roku 1250: dotyczący tego dyplomat z tegosamego roku (nr. 9 na str. 156) podaje imiona tych pozbywców — było ich wszystkich dziewięciu. Ostatnie reszty skalickich gruntów zostawały w posiadaniu pierwotnych właścicieli jeszcze w początku XIV stulecia. Tak n. opiewa przywilej z r. 1310, oddrukowany tu pod nr. 59 na str. 210, że *vir discretus* Jaśko ze Skalic odprzedaje *providо viro* Racławowi ze Skalic półtrzecia łanu, z którychto łanów jeden leży w Skalicach, a półtora w sąsiedztwie. W lat 11 później wyszła jednak i ta cząstka z posiadania Racława, co do której akt odnośny i o tem jeszcze nas powiadamia, że był to wolny łan (str. 211, nota).

Radzice. Szczególnie pouczający jest rozdział, który traktuje o osadzie Radzice (p. 97 i nast.) i o »dziedzicach radzickich«, nazwanych w dyplomacie urzędowym i dziedzicznymi właścicielami (*hereditarii possessores praedictae villae* str. 101), więc tak, jak tę klasę ludzi zowie bulla papieska dla Gniezna z r. 1136. Nadmieniłem o Radzicach już wyżej, że była to jedna z owych czterech wsi, które stanęły na pniu dawnej Kołaczowszczyzny. Wioska drobna (*villula*, str. 106 i n.) z areałem co najwyżej 13 łanów. Dziś zwie się Rätsch, ćwierć mili od Henrykowa — kiedyś zapewne Radzice, w księdze bowiem przeróżnie tę nazwę kaleczą: Ratiz, Ratschitz, Rathschitz, nawet Rascihci. Pierwotny posiadacz tej dziedziny, nienazwany z imienia (zapewne Rad), przypada życiem swojem jeszcze na wiek XII. Czy szedł z pokolenia Kołacza, czy z innego jakiego rodu, tego pytania źródło nasze nie wyjaśnia. Czterej jego synowie zwali się Gniewko Woda, Jan Rzeźnik, Cesko (Czesław) i »Supzi«, który pewnie najstarszy był między nimi (w dokumencie pewnym późniejszym wspomniano go pod imieniem

---

[1]) Dokument z r. 1259 p. 31 i nr. 14 na str. 161. Porówn. dokument z r. 1272 nr. 24 na str. 172.

Zupitus, str. 181); a żyli oni za panowania Henryka Brodatego i posiadali urzędzik t. zw. komorników, t. j. woźnych i poborców podatkowych, z któregoto powodu uchodzili za dręczycieli ludzi biednych, którym się dawali w znaki[1]). Tak jak wszyscy razem wykonywali tę funkcyą, tak też i w domu żyli w wspólności. Wszelako po niejakim czasie zażądał Supcy dla siebie działu i osobnego mieszkania. Więc wystąpił ze spółki z swoją jedną czwartą dziedzictwa, podczas gdy trzej inni bracia i nadal do samej śmierci zostali ze sobą »w jednym domu, na jednym chlebie«. Czas okazał, że te działy nie miały wyjść Supcemu na dobre. Kiedy bowiem nie długo potem zaszła ta okoliczność nieprzewidziana, że dwóch z owej trójki niepodzielnie żyjących braci zeszło bezdzietnie: zagarnął trzeci (Gniewko) całe trzy czwarte części dla siebie, a Supcy musiał poprzestawać na jednej czwartej. Takie bowiem było ustanowienie i prawo wspólności majątkowej. — Pod względem położenia towarzyskiego, wątpliwości nie podlega, że to byli tacy sami *rustici*, jak reszta omawianych powyżej osób. Wskazuje na to dawana im nie tylko w tekście księgi, ale i w dokumentach nazwa *heredes*. A stwierdzają to i uboczne okoliczności, np. sposób życia i jaką śmiercią pomarli. Tylko Supcy skończył zgonem odpowiednim swej urzędowej godności. Występując jako woźny przed sądem w Niemczy przy jakimś procesie, padł paraliżem ruszony. Inni poginęli marnie. Jan Rzeźnik z przeziębienia, którego się nabawił leżąc na przemokłej murawie, na pastwisku za dworzyszczem swojem, gdzie pasał konie. Czesko zginął na trąd. A i Gniewko Woda, który ich wszystkich przeżył, zakończył życie nagłą śmiercią w kuchni klasztoru henrykowskiego, gdy raz tam zaszedł i razem z czeladzią obiad w tej kuchni spożywał (str. 98). Włodykę byliby przecie pewnie zaprosili zakonnicy do refektarza[2]).

Już w następnej generacyi familia tych radzickich dziedziców niepomiernie była rozrodna. Po Supcym zostało pięciu synów; tyluż ich spłodził i Gniewko: pomijam ich imiona, lecz są w księdze podane. Do tej dziesiątki głów męskich doliczyć pewnie trzeba i jakąś gromadkę sióstr: więc wyżywienie tylu ludzi, ile że niemal każdy z nich i sam był ożeniony i dzietny, na szczupłej 13-łanowej wiosce, nie byłoby należało do łatwych zadań, gdyby im nie przychodził w pomoc ów komornicki dochodzik.

W takich stosunkach dożyła ta rodzina roku 1290, w którym nastały jeszcze gorsze czasy. Dnia 23 czerwca rzeczonego roku

---

[1]) L. f. p. 98: Habebant officium in curia principis, quod erant camerarii et suis calumniis pauperes crebrius molestabant.

[2]) Że do funkcyi komorników i woźnych sądowych w dawnych wiekach przypuszczano pospolitych włościan (rusticos), jest rzeczą powszechnie wiadomą. Między innemi dostarcza na to dowodu nr. 33 Kod. WPol., odnoszący się do r. 1176 albo do najbliższych lat po nim.

zszedł ze świata książę wrocławski Henryk IV Probus. Umarł nagle i bezpotomnie. Dobijało się spadku po nim trzech książąt: dwaj synowie Bolesława Łysego, Henryk Tłusty i Bolko, jakkolwiek bracia rodzeni, jeden drugiemu wróg; oprócz tego i brat tychże stryjeczny, Henryk głogowski. Udało się wprawdzie Tłustemu zająć Wrocław już w sierpniu, ale bój dalej wrzał i dawało się przewidywać, że te rządy Henryka V nie będą trwałe, i że nieprzebierający w środkach brat jego Bolko, człowiek twardy dla podwładnych, dotąd pan tylko na Fürstenbergu, jeżeli nie całem księstwem wrocławskiem, to jakąś jego częścią zawładnie. Jakoż już w październiku (1290) dobił się Bolko władzy nad tą właśnie dzielnicą Szląska, w której Henrykowo i Radzice są położone. Otóż w przewidywaniu zapewne takiego obrotu rzeczy, uznali ci dziedzice radziccy za rzecz potrzebną zabezpieczyć na każdy wypadek swą przyszłość, dopóki była pora po temu. Wyprawili jeszcze w sierpniu czterech członków rodziny, dwóch synów Supcego i dwóch Gniewkowych, do Henryka V z prośbą o dokument, któryby stwierdzał ich dziedziczne prawo do Radzic. Krok ten uwieńczony został pomyślnym skutkiem. Z uwagi, jak opiewa przywilej, że *nihil firmum nec stabile* na świecie, czego nie zawaruje *littera scripta*, na zeznaniu świadków oparta, wydano petentom stwierdzone powagą księcia i rycerstwa przytomnego na sądach świadectwo, że Radzice na mocy prawa dziedzicznego do nich należą. Odnośny dokument z dnia 25 sierpnia 1290 r. zachował się w autentyku i z nienaruszoną pieczęcią, i mamy go w księdzie jako nr. 34 na str. 181.

W niewiele tygodni potem przeszły rządy nad tą okolicą w ręce Bolka. Od tego je zaczął, że nakazał przeprowadzić rozgraniczenie między takiemi posiadłościami, które miały uchodzić za jego stołowe dobra, a resztą wsi, stanowiących jego *dominium* (w publiczno-prawnem znaczeniu). Przy tej regulacyi stosunków okazała się istotna czy rzekoma konieczność zaliczenia Radzic do dóbr stołowych. W następstwie tego oświadczono naszym dziedzicom, że ich eliminuje książę z tej wsi[1]). Rozporządzenie to wprawdzie nie weszło w wykonanie w tej formie. Może w części zapobiegł temu ów świeżo otrzymany przywilej — może w większej jeszcze mierze uchroniło ich od tej krzywdy usilne ujęcie się za biedakami »wielu z pomiędzy rycerstwa«, którąto okoliczność księga jako główny powód podnosi, dość że o tyle złagodzono owo postanowienie, iż je zastąpiono żądaniem, »ażeby się nasi ludzie zobowiązali służyć księciu jednym koniem bojowym i żeby na

---

[1]) Co znaczyła eliminacya, objaśniłem wyżej na str. 403. Żadną miarą przeto nie można i tu rozumieć przez to prostego wywłaszczenia. Zawsze jednak niemiła rzecz.

tych warunkach dziedzictwo swoje przyjęli z rąk jego jako *feudum*«[1]).

Sens tego miejsca sam przez się jak dla nas nie dość jasny, tłómaczę sobie tak: Zamiast tego, że aż dotąd rodzina ta wypełniała obowiązki około grodu książęcego służebne, komornickie, i w tej formie czy to w części czy może w całości wywięzywała się z tego, co inne wsi tej klasy ludzi rządowi świadczyły w zwykłych podatkowych prestacyach — zamiast tego nakazano im obecnie uiszczać natomiast służbę wojenną. Wszyscy razem, wspólnym kosztem, jednego zbrojnego jeźdźca na każde zawezwanie do boju mieli dostawiać, i pod tym tylko warunkiem zostawiono ich w posiadaniu swego dziedzictwa.

Było to zatem przymusowe przesunięcie tej wioski z szeregu wsi prestacyjnych do kategoryi rycerskich, które książę Bolko, jak z tego miejsca wynika, nazywał »posiadanemi *in feudo*« czyli feudalnemi. Tu uprzedzić mi jednak czytelnika należy, że ten wyraz *feudum* ma w henrykowskiej księdze i drugie jeszcze znaczenie. W powyższem miejscu znaczy wieś, obarczoną obowiązkiem służby wojennej. W dalszych ustępach niniejszego opowiadania, a nawet w dokumentach odnośnych, rozumieć trzeba przez *feudum* nie już grunt, ale i sam w sobie ten obowiązek. W tym drugim sensie znaczyło *feudum* zarówno *passivum* na pewnej wsi (więc obciążenie własności w odniesieniu do jej dziedzica), jak i prawo, więc *activum* na niej publiczne (w odniesieniu do panującego). I w biernem i w czynnem znaczeniu przedstawia w takim razie *feudum* pewną wartość, którą, jak to zaraz zobaczymy, można było przenieść (odcedować) i na trzecią osobę, jeśli tego wymagały okoliczności. Ale wróćmy do rzeczy.

Powyższe zarządzenie Bolka co do radzickich dziedziców wkładało na nich na razie może większy i kłopotliwszy niż dawniej ciężar; byłoby im jednak mogło z czasem i na korzyść posłużyć. Niewątpliwie wynikało bowiem z niego uprawnienie tej rodziny do przejścia po jakimś czasie w stan z zawodu rycerski, w stan włodyków. Do tego jednakże nie przyszło, a to z następujących powodów.

W orszaku Bolka znajdował się pewien rycerz, imieniem Rudger z Hugowic, względem którego od dość już dawnego czasu znajdował się książę w położeniu dłużnika. Chodziło o wynagrodzenie strat, poniesionych przez tego rycerza na pewnej postronnej wojnie[2]), w którą się Bolko niefortunnie był wmieszał. Syn Rud-

---

[1]) Lib. fund. p. 99: Tandem (res) ad hoc devenit, quod ipsi de praedicta hereditate obligaverunt se ad serviendum duci in uno dextrario et sic hereditatem praedictam in feudo de manu principis receperunt.

[2]) Podkreślam to słowo postronnej. Gdyby był te straty poniósł na wojnie w granicach kraju, nie byłby miał żadnego prawa do ich odszkodowania. Tamta wojna była prowadzona w Brandenburskiem.

gera dostał się tam w niewolę, postradał różne cenne przybory wojenne, a co z wszystkiego najgorsze, ubito pod nim konia takiej wartości, że sam książę Bolko przed wyruszeniem na tę wyprawę dawał mu za tego rumaka 80 grzywien srebra, lecz nie chciano go sprzedać. Te wszystkie dłużne pretensye zostały oszacowane na 100 grzywien srebra. Książę tę należytość przyznawał, ale się z jej wypłaceniem nie kwapił. Obecnie przypomniał mu to znowu Rudger. Otóż Bolko spłaca mu teraz ten dług, a spłaca go w taki sposób, że przelewa na tego rycerza owo swoje na Radzicach *activum* i jako ekwiwalent kwoty 100 grz. konferuje Rudgerowi i jego potomkom dziedzicznem prawem owo *feudum et servitium dextrarii* z tej wsi [1]).

W następstwie tego wytworzył się teraz taki co do dziedziców radzickich stosunek, że wprawdzie »właścicielami« swej wsi pozostaną oni i nadal; nawet i dokumenta urzędowe, po tem już zajściu spisane, nie szczędzą im nazwy *heredes*, ale *servitium dextrarii* będzie miał z nich już nie książę, lecz Rudger, który się właśnie przeto staje odtąd bezpośrednim onych zwierzchnikiem. Nazywa on siebie odtąd *hereditarius patronus* owej osady (str. 109, dokument); powiada przy innej sposobności, że *feudum villae Radzic* prawem kupna od księcia na niego i na jego *posteros est devolutum* (str. 101, dokument). *Servitium dextrarii* w odniesieniu do tych włościan straciło też pewnie odtąd swoje dosłowne znaczenie, gdyż nie wątpić, że zaczęto je Rudgerowi uiszczać w pewnej stałej corocznej reluicyi pieniężnej lub w naturaliach zbożowych, tak na wszystkie te jednostki odpowiednio do gruntów każdego wymierzonej i rozłożonej, że suma tej rocznej prestacyi razem wzięta równała się procentowi od kapitału 100 grzywien (jeżeli się obywało bez wyższych może jeszcze, nieprawych od nich z tego tytułu wymuszeń). Nie wątpić także, że i juryzdykcya nad tymi ludźmi przeszła w ręce Rudgera; nie zapominajmy bowiem, że dzieje się to już w końcu XIII stulecia, między r. 1291 a 1293, gdzie sądy patrymonialne i nad wolnymi włościanami w takich okolicznościach stawały się już panującą zasadą.

To nowe położenie oczywiście nie szło w smak naszym dziedzicom. Około r. 1305 było członków tej rodziny już całe mnóstwo. Z linii Supcego miał tam grunt, oprócz dwóch jego synów jeszcze żyjących, i jeden wnuk tego dziada, imieniem Mikołaj. Obok pięciu synów Gniewka Wody, którzy także jeszcze wszyscy czerstwem się zdrowiem cieszyli, siedziało na gruncie już i siedmiu wnuków Gniewkowych — wszyscy pełnoletni. Ci piętnastu nie stanowili jeszcze całego kompletu gąb do jedzenia. Nie wchodzą w to kobiety; nie wchodzą różne jednostki dorosłe, które gdzieindziej, jak księga

---

[1]) Lib. fund. str. 100: Dux feudum et servitium dextrarii de Radzic eidem Rudgero et omnibus suis posteris pro damnis praedictis dedit jure proprietario et sic damna Rudgero, quae perceperat, resarcivit.

powiada, zostawały na służbie, wszelako z prawem do udziału w spadku — a cóż dopiero cała rzesza małoletnich! Byli to zatem bardzo ubodzy i biedni ludzie. Najzamożniejszy między nimi miał wprawdzie jeszcze jakie półtrzecia łanu, a drugi niecałe 2: ale reszta nie posiadała, jak po jednym, po pół-łanku, po $^3/_4$ albo po $^1/_4$ łana. A na dobitek wszystko to pozadłużane, pozaplątane w najrozmaitsze zobowiązania względem różnych wokół sąsiadów (str. 103 i nast.). Klasztorowi henrykowskiemu bardzo się też już uprzykrzyło to sąsiedztwo hołyszów. »Wreszcie spodobało się Panu Bogu, powiada nasza księga, wyprowadzić tych opryszków *(latrunculos)* z tej okolicy«. A stało się to w ten sposób, że i oni za rzecz najlepszą uznali nie biedować w tej swej wsi dłużej i posprzedawać wszystkie swoje działki Cystersom. Zaszło to r. 1305. Za całe owo dziedzictwo miał im dać klasztor razem 212 grzywien (łan po niespełna 18 grz.). Gdy jednak przyszło do ostatecznej wypłaty, musiał opat od tej ceny umówionej do 230 grz. postąpić, żeby rozwikłać różne zaplątania dłużne, o których nie było mowy na razie. Pozabierali ze sobą, z wiedzą i zgodą klasztoru, nawet i budynki swoje (str. 102, dokument). I poszli w świat, gdzie ich oczy poniosły — jeden z kwotą 40, drugi 30, inni z 27, 18, 14, 9, 6, 4, 3, $2^1/_2$ grzywien, z których jednak powinien każdy był dać coś jeszcze i drugim krewnym. Co się dalej z nimi działo, nie wiedzieć [1]).

Urzędowy akt tej sprzedaży, spisany już po wypłaceniu kwoty każdemu należnej, opiewa: że takowa została dokonaną »w przytomności i za przyzwoleniem Rudgera«. Zaznaczyć tu należy tę już odmienność formy Wszystkie dawniejsze, w powyżej opowiedzianych wypadkach dokonane alienacye gruntów tej klasy ludzi, zatwierdzał, jakeśmy to widzieli, zawsze panujący monarcha. Tu wykonało się to inaczej, ponieważ wieś ta była wyszła z pod bezpośredniej władzy publicznej i w Rudgerze otrzymała swego »patrona«. W jego więc ręce, jak się dokument z roku 1305 wyraża, złożyli dziedzice Radzic »wieś swoję, klasztorowi sprzedaną na wieczną własność, z pełnem prawem i całkowitym użytkiem *(utilitas)*, jaki z niej mieli sami« — a on dopiero urzędownie w posiadanie nowonabywcy ją oddał, zatwierdzając całą tę czynność herbową swoją pieczęcią (str. 101). Równocześnie dokonano tam wtedy i drugiej jeszcze czynności. Gdyby był klasztor na tem co dotąd powiedziano poprzestał, byłby zajął takisam co do tej świeżo nabytej wioski względem Rudgera stosunek, w jakim pod nim zostawali owi dziedzice. Tego opat nie chciał, a i dla drugiej strony nie było to pożądanem. Więc zaszła druga umowa, mocą której klasztor skupił ów ciężący na Radzicach obowiązek wojenny.

---

[1]) Gdyby byli pozostali na gruncie, byliby przeszli w stan kmieci, a potem w stan zupełnie podległy panu swemu, w stan chłopów, jak cała większość wtedy podobnych osad.

Dokonano tego w ten sposób, że owo *feudum et servitium dextrarii*, w wartości 100 grz. dziedzicznie służące Rudgerowi, przez rodzinę tego rycerza przelane zostało na klasztor, za zwrotem tej samej ceny. Rzeczywiście wypłacił im klasztor za to wprawdzie tylko 50 grz., ale to tylko dla tego, że druga połowa należnej spłaty została mu przez tę rodzinę po zgonie ojca darowana w jałmużnie (str. 108). Na dokonanie tej drugiej alienacyi trzeba było już książęcego przyzwolenia i zatwierdzenia. Otrzymały je obydwie strony, synowie Rudgera i klasztor, przywilejem r. 1309, który w tekst księgi włożono na str. 108. — Tak więc przejął klasztor ten cały nowy nabytek za cenę 230 + 50 (właściwie + 100), razem za 280 grz. łan po $21^1/_2$ grz. *Hereditas* wsi kosztowała i wartowała 230 — *feudum* na niej i *servitium* 100 (względnie 50) grzywien. Miały się tu zatem prawa dziedziców do prawa patrona (a poprzednio do prawa książęcego), jak 230 do 100, czyli w przybliżeniu jak 2 do 1. I otóż najdobitniejszy, bo w formułę arytmetyczną ujęty okaz istoty całego tego pod względem prywatno- a publiczno-prawnym tak skomplikowanego stosunku[1]).

Cieńkowice. Powyższy przekaz (odprzedaż) praw publicznych rządowych na posiadłości prywatnej, do rąk trzeciej równie prywatnej osoby, nie stanowi odosobnionego w tej księdze zdarzenia tego rodzaju. Podobne fakta w połowie XIII w. stać tam musiały na porządku już dziennym. O jednym opowiada źródło nasze w następujący sposób (str. 20 i 32).

»Kiedy poganie najechali tę ziemię (Mongołowie w r. 1241) i księcia panującego usiekli, a młodzi nasi książęta sprawowali swe pierwsze rządy, działy się tu takie rzeczy, które za starych książąt byłyby niesłychane! Szczególnie *dominus Boleslaus* (Łysy) dopuszczał się w swej młodości wielu rzeczy niemądrych *(puerilia)*. Rycerstwo wtedy przemożnie panowało nad krajem tym i każdy grabił

---

[1]) Miał klasztor henrykowski i na innej jeszcze wsi swojej ciężące takie servitium ducale, a to z następującej przyczyny. Między owemi kilku wsiami, któremi tenże uposażony został przez założyciela swego w chwili samej fundacyi, znajdował się i Rychnów (dzisiejsze Reichenau). W owym czasie (r. 1227) był ten Rychnów, równie jak i wszystkie inne dobra klasztorne, wolny od wojennej służby książęcej. Ale w kilkadziesiąt lat później, za rządów już Bolesława Łysego, sołtys rychnowski, nazywał się Sigfried Rindfleisch, człowiek ambitny i próżny, żeby dumie swojej dogodzić, nieproszony, niezmuszony, z własnej ochoty, zaczął księciu służbę cum uno dextrario pełnić. Bardzo się to zakonnikom niepodobało i wnet potem pozbyli go się z sołectwa niemałym kosztem. Postarali się o innego sołtysa, który wcale nie pożądał tych zaszczytów niby-rycerskich. To im jednak nic nie pomogło. Ciężar raz przyjęty, pozostał już na tej wsi, i dopiero za złożeniem Bolesławowi kwoty 40 grz. srebra uwolnił się klasztor od tego servitium. Zaszło to kiedyś przed r. 1278, w którym ten książę umarł (str. 95).

z dziedzictw książęcych, co mu się podobało«. Illustruje te bezprawia następujący wypadek. Mieszkał wtedy w pobliżu Henrykowa we wsi swojej Ciepłej-wodzie pewien rycerz dosyć potężny, imieniem Albert, a nazywano go Łyk. Ten w r. 1242 wyłudził od Bolesława za 30 grzywien sr. dwie wsi graniczące z jego własnością, Cienkowice i Kubice, obejmujące obszar 30 wielkich łanów. (Co do Kubic, nie wiemy jakie tam zachodziły stosunki. Cienkowice były dziedzictwem znanych nam już *rustici ducis*, owych Piroszewiców, którzyto w r. 1228 tak śmiało rzekome swoje prawa reklamowali co do Głąbowic przed księciem Henrykiem Brodatym, ob. wyżej str. 401). Dorwał się zatem ów rycerz czy komes, bo i tak go autor nazywa, rzeczonych posiadłości za bezcen, a skoro cena wielkiego łanu nie wynosiła tu więcej, jak grzywnę, to rzecz jasna, że mu za to przekazano tylko chyba patronat nad temi wsiami, więc pewien tylko dochód z nich, a nie pełne całkowite prawo własności. Wszedłszy w położenie takie, powinien był ów pan Łyk poszanować prawa »dziedziców«. Lecz on postąpił sobie inaczej. »Eliminował« ludzi z tych wsi, (można się domyślić, za jakiem wynagrodzeniem), wcielił obydwie do swojej Ciepłej-wody, a potem osadził to wszystko razem kolonistami niemieckimi. Sama dziesięcina kościelna z tych łanów potem przynosiła biskupowi 10 grz. corocznie (str. 21). Ta kwota 10 grz. reprezentuje więc 10% od całkowitej z nich intraty, dochodzącej sumy 100 grz. corocznie! A Łyk za 30 posiadł na wieki tę całą substancyą! — Nie wątpić, że nazywa tu autor bezprawiem właśnie to przymusowe eliminowanie prawych dziedziców z swych gruntów, które w danych okolicznościach równać się musiało bez mała z wyrzuceniem. Sama eliminacya, po słuszności wykonana, nie byłaby go raziła, boć i klasztor uskuteczniał czasem takie czynności, jeżeli je bez krzywdy niczyjej można było przeprowadzić[1]).

Konkluzya. Powyższe zestawienie różnych faktów, opowiedzianych w tej księdze w odniesieniu do wieśniaków wolnego stanu, nazywanych *heredes*, a ogólniejszem mianem *rustici ducales*, nie

---

[1]) Raz nawet pewnego komesa klasztor usunął w taki sposób z swego sąsiedztwa. Stało się to około r. 1254. Niejaki Michał Daleborowic, komes, osadził był wieś swoję, tuż położoną przy ogrodzie klasztornym, niemieckimi przybłędami, którzy potem wyprawiali u siebie gorszące braciszków zakonnych sceny, tak iż ich tam w żaden sposób cierpieć nie było można. Otóż udało się opatowi skłonić Daleborowica do przyjęcia za tę wieś tyluż gruntów wraz z dworem gdzieindziej, we wsi klasztornej Niklawicach, do czego mu jeszcze dodano cały tak żywy, jak i martwy inwentarz. A swoją drogą musiał opat i od tych osadników poodkupować ponadawane im łany, na co wydał (razem zliczywszy) sumę 80 grzywien. Opowiada to szczegółowo przywilej Henryka III z r. 1254 z powodu tej eliminacyi wydany i przywiedziony na str. 38.

określającem dobitnie ich położenia, zdaje mi się, że wystarcza na dowód, iż bynajmniej nie była to klasa pod względem zasad posiadania tak ograniczona, iżby nie mogła swobodnie rozporządzać swoją osobą, iżby była przykutą do (cudzej) gleby, przywaloną *jugo servitutis*, słowem oddzieloną taką przepaścią od klas tworzących wyższą warstwę narodu, jak to sobie niejeden wyobraża. Byli takimi *ascripticii*. Siedzieli także na cudzych gruntach za czynszem t. zw. *hospites*. Ale to całkiem inne rodzaje wieśniactwa.

Autochtoniczni wolni dziedzice swych ojcowizn, swych po dziadach i pradziadach odziedziczonych »dziedzin«, mieli wprawdzie inne zadanie, jak włodycy i szlachta. Ale pod względem wolności osobistej, i pod względem stosunku swego do ziemi, którą nazywali własną, nie widzę żeby w czasach aż w wiek XIII różnić się mieli od szlachty. Była tu bijąca w oczy różnica co do obowiązków: tam prestacye na rzecz wyobraziciela państwa i jego organów — a tu obowiązek służby wojennej; mówię obowiązek, bo nie rozumiem, dla czego to koniecznie prawem, a nie obowiązkiem, ciężkim i krwawym obowiązkiem nazywać. Pośrednie korzyści, obłowienie się zdobyczą, łaska książęca, sława, awans, donacye i t. d. wynikały z tego obowiązku — nie przeczę. Ale w zasadzie był to obowiązek, nie prawo[1]). Były i inne różnice: majątkowa zamożność, polor i ogłada, położenie towarzyskie, intelligencya, swoboda życia i lekki chleb między wojną a wojną, wolność od danin i powszednich usług, zupełnie uzasadniona, skoro się kto oddał cały na usługi ojczyzny. Ale pod względem tamtych dwóch, najkardynalniejszych w życiu zasad, nie było różnicy. Nawet t. zw. prawo bliższości w sprawach spadkowych służyło obydwom stanom zarówno, jakeśmy to wyżej widzieli. A zatem cała istotna

---

[1]) Z prawa swego wolno każdemu robić użytek lub go nie robić. A czyż tak było z rzekomem »prawem« służby wojennej? Nasza księga (str. 89) daje na to odpowiedź. Posiadał w drugiej połowie XIII w. pewien znacznego rodu rycerz, Polcko z Schnellenwalde w okolicy Ziębicy (Münsterberg) trzy wsi: Wiesenthal, Słuszów (dziś Schlause) i Bärenwalde. Z tych wsi powinien był miejscowemu książęciu na każde zawołanie uiszczać służbę cum tribus dextrariis. Kiedy w r. 1290 przeszła ta dzielnica pod rządy Bolka świdnickiego i tenże niedługo potem pospolite ruszenie ogłosił, a ów Polcko omieszkał stawić się na niem: nałożono na niego za to zaniedbanie służebności na wsiach jego ciężącej karę pieniężną w wysokości 30 grzywien — po 10 za każdego konia, a to (jak księga powiada) w myśl statutu wydanego przez tego księcia. Ściągnięcie niezwłoczne bez pardonu tej kary tak zgniewało tego rycerza, że się z dóbr w tym powiecie wyprzedał. — Ani myśleć, żeby dopiero wspomniany tu statut księcia Bolka był nałożył na dobra rycerskie te służby jako nowe jakieś, niebywałe przedtem ciężary, przeciwne zwyczajom i tradycyi. On tylko rygor nałożył na ścisłe dopełnianie takowych i surowo go wykonywał; i to się tak nie podobało owemu panu.

różnica — w naturze obowiązków, przywiązanych do tego kawałka ziemi, jaki kto posiadał. Ci te ciężary spłacali osobistem na każde zawołanie trudem i krwią — tamci pracą w pocie czoła na ojcowiznach swoich, t. j. częścią pewną owoców tej pracy i innemi usługami na rzecz sprawy publicznej. Osobą, której się to wszystko świadczyło, był książę, ale był nią jako monarcha kraju, a nie jako pan w prywatno-prawnem tego słowa znaczeniu. Zna wprawdzie księga nasza i takich, dla których panujący był panem w tem znaczeniu. Przy sposobności darowizny Cystersom henrykowskim folwarku Jaworowa w r. 1243, darował Bolesław Łysy i dwóch kołodziejów w tej wsi książęcej klasztorowi w dodatku[1]). W tych trzeba widzieć oczywiście niewolnych ludzi. Ale o tamtych nigdy się tak nie wyraża ta księga. A że ich w granicach okolicy stosunkowo tak szczupłej, i tylu przywodzi i tak gęsto osiadłych: w tem dowód, że stanowiła ta klasa nawet i wtedy jeszcze rdzeń zaludnienia, najliczniejszy żywioł w składzie społeczeństwa szląskiego. To że tu mowa jedynie o Szląsku, to że *Liber fundationis* układano dopiero w połowie XIII stulecia, nie może osłabiać znaczenia tego świadectwa. Szląsk wtedy nie różnił się jeszcze od reszty Polski. Stosunki opisane w tej księdze w znacznej części sięgają aż w wiek XII. A jeżeli oprócz tego zważymy, że dola naszej wolnej ludności krok za krokiem pogorszała się w całym kraju w owych czasach, kiedy tę księgę pisano; jeżeli uwzględnimy, że pod koniec tego właśnie XIII wieku zaczęła znikać z widowni ta klasa jako odrębna: to z całym spokojem godzi się twierdzić, że stan rzeczy tu przedstawiony nie tylko i dawniej istniał, ale nawet miał w wiekach poprzednich silniejszą konsystencyą, niż teraz, gdzie w nim tacy Łykowie z Ciepłej-wody i Rudgerowie z Hugowic nieobojętne wyłamywali już szczerby.

Chodzi mi teraz o wydobycie na jaw właściwej nazwy tej klasy. Nasza księga ma na to kilka określeń, które choć różne, w danych miejscach jednak tosamo znaczą: *heredes, possessores hereditarii, mediocres, rustici ducis, proprii rustici ducis.* W innych źródłach przybywa do tego jeszcze cały szereg innych nomenklatur: *agricolae, homines, simplices, pauperes, ingenui incolae, terrigenae, liberi* i t. d. Każdy z wyrazów tych mieni jednak tak w henrykowskiej księdze, jak i gdzieindziej, niejednostajne znaczenia. A z tego zamętu nazwań, zdaniem mojem, to jedno tylko wynika, że co najmniej aż do końca XII stulecia żadnej stałej nazwy odrębnej dla tej warstwy ludu nie było. I rzecz to całkiem naturalna. Ta klasa wolnych stanowiła rdzeń społeczeństwa. Z niej się składał cały ogół pierwotnych mieszkańców kraju. Obok niej, w swoim czasie, nie istniały żadne inne prawnie

[1]) Dedimus etiam eidem claustro duos charpentarios ejusdem villae, Dobrossam cum suo fratre — słowa księcia Bolesława w dokumencie z r. 1243 na str. 34

odosobnione odcienie ludu. W ogólności, wszędzie i po wszystkie czasy, nadają się nazwy rzeczom wtedy dopiero, kiedy z konieczności chodzi o odróżnienie ich od czegoś drugiego. Pierwotna tubylcza ludność miała wprawdzie świadomość swej odrębności od cudzoziemców, których zwała niemymi, a siebie ludźmi, ludem, narodem. Określała też swą osobność w ten lub ów sposób w obec pobratymczych sąsiadów. Ale wewnętrzny społeczny ustrój nie dawał jej do tego powodu, żeby sobie nadawała jakie nazwisko. Jej położenie, jedno i równe dla wszystkich (choć przez to nie rozumiem równości w sensie np. Lelewela albo Maciejowskiego), nie potrzebowało nazwiska. Dopiero w dalszym roztoku stosunków zaczęły się w łonie tej jednoty wyosobniać prawne różnice. Od tej chwili, te egzystencye nowe, każda od razu z swą nazwą, pociągały za sobą potrzebę odrębnej nazwy i dla owego tła społeczeństwa, na którem tamte się pojawiały. A że te nazwy dla narodowego ogółu dobierano każdocześnie wedle tego jedynie, co właśnie wyrażało miano owej świeżo zjawionej odrębności, więc stądto taka ich mnogość i różność. Tak np. w przeciwstawieniu do świeżo wytwarzającego się stanu *militum* — nie wchodzę w to, czy ich na razie zwano rycerstwem, włodykami, wojami, czy jak: przedstawiali się tamci jako rolnicy (*agricolae, aratores* i t. p.). Wojowie w swym domu byli gościem, przebywali w obozach — tamci tworzyli zwartą, stałą ludność sielską: więc byli to wieśniacy (*rustici*), włościanie. Wojowie tworzyli przednią i zamożniejszą w narodzie warstwę: więc się mówiło o tamtych, jako o średnich, o prostych (*mediocres, simplices*). Od czasu napływu do kraju »łazęgów« czyli hospitów, którzy także osiadali na gruntach, lecz nie na własnych, ani na dziedzicznych, biło w oczy jako znamię tamtych, odwieczne posiadanie swych dziedzin, i stąd nazwa *heredes, possessores hereditarii, terrigenae.* Kiedy nakoniec do tego przyszło, że powstał w społeczeństwie naszem ów prąd ku temu dążący, by różnice egzystencyi nie dość wybitne, a dla wielu niedogodne zacierać; kiedy się zaczął, powtarzam, prąd nieuznawania w narodzie innych różnic, jak tylko z jednej strony rycerstwa (i duchowieństwa), a z drugiej ludu, i zaczęto w to pojęcie »ludu« wtłaczać tak dotychczasową niewolną ludność wraz z hospitami, jak i tych z pomiędzy »dziedziców«, którzy czyto z braku chęci, czy z braku środków na to potrzebnych a niełatwych do nabycia, nie przyjęli na się, dopóki była pora po temu, zobowiązań rycerskich, i woleli po dawnemu, w miłym spokoju, bez krwi rozlewu *paterna rura colere* — od tej pory nastaje u nas dla tych ostatnich nazwa wolni, *liberi.* Przypada prądu tego początek na wiek XIII i w tym też czasie dopiero spotykamy się w dokumentach z tą nazwą *liberi.* Właśnie walka o zachowanie im tej wolności — nie z ich strony walka, bo nie mieli oni wtedy już siły po temu, lecz walka o nich, ze strony panujących książąt, ku temu zmierzająca, żeby im prerogatywę osobistej niezawisłości nawet w takich włościach zachować, które kościołowi lub

rycerstwu były nadane — przeciwnie zaś ze strony hierarchii i rycerstwa walka z wytrwałością, godną lepszego celu, ku temu wytężona, żeby i ten odcień włościaństwa porówno z innymi pod własną wziąć juryzdykcyą, a potem i dalsze z tego następstwa krok za krokiem na swoję wyzyskać korzyść, — właśnie ta walka powtarzam wydobyła na jaw tę ich znamienną od askryptów i od hospitów różnicę: wolność. Napór ten lat kilkadziesiąt trwający zakończył się niestety, jak wszystkie inne w naszym kraju między uprzywilejowanymi stanami a naczelną władzą prowadzone zatargi, zwycięstwem pierwszych. Wynikiem jego to było, że z wolnych dotąd »dziedziców« wytwarza się w dobrach kościoła i szlachty stan kmieci, więc już poddani *(subditi)* panów swoich, choć na razie z pewnemi jeszcze atrybucyami, które im wśród reszty gminu wiejskiego nadawały pewne piętno odrębne. Upadek ten wolnych włościan w dobrach prywatnych nie mógł nie oddziałać z czasem i na dolę tejże warstwy w dobrach rządowych. Zarząd domen książęcych spoczywał w rękach starostów, z tejsamej wybieranych klasy, która u siebie tamtę przeparła reformę. Postarali się oni o to, żeby kontrast położenia tych ludzi w obrębie starostw nie odbijał zbyt jaskrawie od doli kmieci gdzieindziej.

Teorye upatrujące w ludzie wolnym już od najpierwszej doby dziejowej coś tylko względnie lepszego nad pospolitych niewolników rządowych, głównie na tem się opierają, że ich źródła zowią *homines ducales*, *rustici ducis* i t. p., a panującemu względnie do jednostek tej klasy dają miano pana, *dominus*.

Nie przeczę, że z dzisiejszego stanowiska rzecz biorąc, można takie wyrażenia w tym sensie rozumieć. Lecz czy miały one i wtedy takie znaczenie? W kronice Galla (*Monum. hist. pol.* I str. 396 i nast.) Piast występuje pod nazwą rolnika książęcego *(arator ducis)*, a Popiel figuruje jako *suus dominus*. I ten *dominus*, ten pan wyniosły, zaproszony przez swego rataja na ucztę, zstępuje do jego przedmiejskiej chaty wraz z całym orszakiem swych dostojników. Daje się gościć i raczyć, czem ta chata bogata. A po upadku tego tyrana sadzi wola całego narodu syna owego rzekomo poddańca książęcego na tronie! Pytam się, czy autor kroniki, dla tego że Piasta nazwał *arator ducis*, mógł w nim upatrywać niewolnego człowieka? Widział w nim wprawdzie w porównaniu z dworem książęcym biedaka *(pauperculus)*, rolnika *(agricola)*, ubogiego gazdę *(rusticus pauper)*. Ale za książęcą własność ani Gallus ani odwieczna tradycya nie poczytywała go nigdy. W innem miejscu (str. 408) sławi taż kronika Bolesława Chrobrego za to, że się z swymi wieśniakami nie jak pan, lecz jak ojciec obchodził. *Suos quoque rusticos non ut dominus in angariam coërcebat, sed ut pius pater quiete eos vivere permittebat.* Ani to *suos* przy wyrazie *rusticos*, ani też słowo *dominus* zdaniem mojem niczego nie dowodzi na korzyść wniosków, jakie stąd wyciągano. Kilka tylko wierszy dalej, na tejże stronicy, znajduje się takie oto miejsce: *Duces vero suosque comites ac principes acs*

fratres vel filios diligebat eosque salva reverentia sicut sapiens dominus honorabat. Jeżeli tu samo czoło społeczeństwa, *comites principes*, nazwani *sui*, bez żadnej ujmy dla siebie: toć i tamtych tensam zaimek nie piętnuje na niewolników. A to słowo *dominus* widzimy zarówno tu użyte w odniesieniu do jednych i do drugich. Co tu wypisuję z Galla, znachodzimy w niezliczonych miejscach i w archiwalnych zabytkach, tak bliskoczesnych temu kronikarzowi, jak dalszych. Gdzie tylko spojrzeć, spostrzeżemy przy wyrazach *comites, barones, milites, nobiles* i t. d. dołożone *mei, nostri*, a *eius* albo *sui*, gdzie mowa o książęciu jako trzeciej osobie: a więc *mei comites, barones mei* lub *nostri, coram nobis et nostris nobilibus, coram duce et nobilibus suis* i t. d. Fundator klasztoru miechowskiego, pan z panów i jeden z pierwszych magnatów za panowania synów Bol. Krzywoustego, słowem ów Jaksa, w którym niektórzy chcą upatrywać jakiegoś księcia z za Odry, chociaż to bajka, kiedy stanie w obec Bol. Kędzierzawego, to przemawia do niego nie tylko jako do »pana«, ale do »swojego pana« *(ducem Boleslaum dominum suum familiariter adiit* i t. d. w dokumencie z r. 1198, *Kod. M. Pol.* nr. 375). Takiesame określenia książąt i w stosunku do duchowieństwa, do opatów i do biskupów. Ów opat polski, międzyrzecki czy trzemeszyński, imieniem Tuni za Bolesława Chrobrego, którego ten król nieraz w poselstwie do cesarza wyprawiał w czasie swej wojny z Niemcami, nie występuje we współczesnej Dithmarowskiej kronice prawie nigdy inaczej, jak z tymże zaimkiem: *abbatem suum Tuni nomine ad caesarem mittit..., post hoc abbatem suum Tuni ad nostrum imperatorem mittit...*, a Chrobry względem niego jest *eius dominus.* (*Monum. Pol.* I. 300, 318 i t. d.). Zaszczytną dla tych wszystkich dostojników duchownych w ustach książąt intytulacyą było *capellanus*, choć w dosłownym sensie brać tego nie należy, boć z nich żaden kapelanem książęcym nie był; zaimka *meus, noster* i t. p. nigdy im przy tym tytule nie braknie i to przez ciąg całej Piastowskiej epoki. *Capellani mei de Sulejów*, mówi w r. 1178 Kazimierz Sprawiedliwy o Cystersach tegoż klasztoru (*Kod. M. Pol.* nr. 1). *Religiosus et discretus dominus Petrus, abbas de Wąchocko, noster specialis capellanus*, wyraża się Władysław Łokietek w r. 1318 o tym przełożonym zakonu (*Kod. kat. kr.* nr. 120). O biskupie krakowskim powiada tenże Władysław w r. 1320, jeszcze przed swoją koronacyą: *sedebat circa me* (na wiecu) *episcopus capellanus meus Johannes Muscata* (*ibid.* nr. 121). Biskupa poznańskiego Jana V obdarza regentka państwa Elżbieta w r. 1372 tymsamym tytułem (*capellanus noster specialis*), a kilkanaście lat rychlej, w r. 1358, brat jej Kazimierz W. nazwał sam siebie panem (*dominus feodali ratione*) tegoż biskupa (*Kod. W. Pol.* nr. 1663 i 1369). Podobne wyrażenia nawet i w stosunku do instytucyi, do kościołów, biskupstw i opactw. Tynieckie, w przywileju Bolesława Wstydl. z r. 1234, aż 3 razy nazwane *nostrum*

monasterium, a Leszek Czarny w r. 1288 mieni siebie *heres verus et dominus specialis* tejże fundacyi (*Kod. Tyn.* nr. 17 i 36). Jego brat Władysław Łokietek, książę wtedy sieradzki, użył o sobie tejże nazwy odnośnie do kościoła w Pajęcznie (*dominus et patronus ecclesiae*, *Kod. Rzyszcz.* II nr. 154 z r. 1295). Klasztor lubiąskich Cystersów poczytuje w r. 1201 książę szląski Bolesław za swoje *coenobium* (Büsching p. 27). A i Mieszko Stary w takiż sposób swój stosunek pojmuje względem opactwa w Mogilnie (»zawezwałem przed siebie opata tego mego klasztoru, zapytując« itd. nr. 33 *Kod. W. Pol.*). O księciu Bolesławie Wysokim można wprawdzie rozumieć, że ponieważ był założycielem lubiąskiego opactwa, z tego tedy tytułu mógł je za swoje uważać. Lecz ani Mieszko Stary nie fundował mogilnickich Benedyktynów, ani Bolesław Wstydl., a tem mniej Leszek Czarny, nie położyli zasługi tej względem Tyńca, ani wreszcie kościół w Pajęcznie nie zawdzięczał Łokietkowi swego początku, bo istniał on tam jakie dwa wieki już przed nim. Cały przeto powód tego niby właścicielstwa na tem polegał, że te instytucye kościelne leżały w obrębie władzy tych książąt. Jeżeli rozbierane tu powiedzenia nie ubliżały ni fundacyom ni osobom, których to dotyczyło, to w tymże sensie brać należy te wyrażenia i w stosunku do klasy ludu, którą się zajmujemy.

Ale pójść możemy i dalej jeszcze. W jednem z nadań księżnej Kunegundy sandeckich, w dokumencie z r. 1268, wystawionym dla niejakiego Pysza, sołtysa dwóch prawo niemieckie mających otrzymać wiosek, czytamy następujący ustęp (*Kod. M. Pol.* nr. 475): *Item scoltetus de quolibet laneo suorum hominum marcam argenti (mihi) solvere non obmittat.* Z całego kontekstu wynika najniewątpliwiej, że stosuje to owa księżna nie do sołeckich łanów, ale do łanów swoich, do gruntów po za sołectwem, i do osadników, którzy na całym wsi owych areale osiędą. Od każdego z tych osadników będzie sołtys ściągał po grzywnie czynszu — dla księżnej. Ona więc panią wsi i ludzi, a nie ów sołtys. I skądinąd także wiadomo, że osadnicy po wsiach takich zatrzymywali samoistność gospodarską, a cóż dopiero osobistą swoję wolność nawet w obec pana osady, a cóż dopiero sołtysa. I mimo tego wszystkiego widzimy tych ludzi tutaj, w dokumencie regulującym na całą dalszą przyszłość ich stosunek do rzeczonego Pysza, nazwanymi »sołtysimi«, *sui homines*. Otóż przykład, jak giętkie i jak od dosłowności dalekie bywało wtedy znaczenie takich wyrażeń.

Nie wiemy wprawdzie, od jak dawnego czasu, lecz w każdym razie już za pierwszych naszych chrześciańskich książąt zdarzały się takie wypadki, że monarcha darząc kogo posiadłościami ziemskiemi, przydzielał mu nie same tylko czynszowe albo niewolnikami osadzone grunta, lecz i włości dziedziczne wolnej ludności. W początkach mogły zdarzenia takie być wyjątkowe: z czasem coraz bardziej w zwyczaj wchodziły. W razach takich nie była to oczywiście darowizna ludzi ani donacya ich dziedzictw, ale jedynie

przelew, cesya pożytku, jaki aż dotąd miał z tych gruntów skarb publiczny, na tę trzecią osobę. Czy i prywatne osoby, rycerstwo, tak już wcześnie otrzymywało nadania tego rodzaju — na to źródła żadnej odpowiedzi nie dają[1]). Ale że biskupstwa i w ogólności duchowne fundacye zaliczały od niepamiętnych już czasów do swego uposażenia i takie źródła dochodu, uważam za rzecz udowodnioną. Dostarcza takich przykładów już protekcyjna bulla papieska dla kościoła gnieźnieńskiego z r. 1136, przedstawiająca stosunki sięgające czasu założenia tego arcybiskupstwa. Otóż: od chwili takiego przejścia dziedziny wolnego właściciela z pod książęcej kamery w stosunek do instytucyi kościelnej, zaczęto onę dziedzinę za kościelną uważać. Tak jak owi mieszkańcy wiosek pod Sączem w dokumencie co tylko wspomnianym występują pod nazwą »ludzi sołtysa« (*sui homines*), w tymsamym sensie, a z pewnością z jeszcze lepszem do tego prawem, nazywa gnieźnieńska bulla z r. 1136 wszystkich dziedziców wsi opola żnińskiego »arcybiskupimi« (*hi omnes possessores... archiepiscopales sunt*), albo jak dalej, »do arcybiskupa należącymi« (*archiepiscopo pertinent*). Taksamo rzecz ta się miała i z dziedzictwami, konferowanemi klasztorom, a następnie — prędzej czy później — i świeckim panom. Z tego zaś wynikał w najprostszej konsekwencyi taki stan rzeczy, że cała reszta, cały ogół włościan, którzy w stosunek taki nie weszli, którzy po dawnemu bezpośrednio podlegali monarsze i jego grodowi, zwali się ludźmi książęcymi, *rustici ducis*.

Człowiek mówiący o sobie: »jestem *rusticus ducis*«, a z naciskiem »jestem *proprius rusticus ducis*« nie tylko nie wygłaszał przez to swego poddaństwa, ale przeciwnie z chlubą o sobie to wypowiadał[2]). Dawał przez to do rozumienia, że nikogo nie ma nad sobą, jak tylko wyobraziciela władzy publicznej, którego własnością w myśl pojęć tamtoczesnych był cały kraj, z wszystkiemi wsiami bezpośrednio czy pośrednio do niego należącemi, gdyż miał swoję rękę na wszystkich.

---

[1]) Nie posiadamy z tej epoki ani jednego dokumentu, któryby dotyczył świeckiej osoby. Wszystkie tylko dla fundacyi kościelnych.

[2]) Przypominam owo miejsce z henrykowskiej księgi, dotyczące Piroszewiców (p. 42). »Sed quia hi rustici erant proprii ducis et erant divites et erant heredes de Cienkowic, dixerunt ad ducem: Domine dux, haec silva est nobis per potentiam notarii tui violenter ablata! Nos tenemur eam possidere!« A kilka wierszy niżej: »Quibus dux ut suis propriis rusticis credidit et dedit silvam eisdem rusticis«. Otóż takie prawie zuchwałe wystąpienie przed księciem owych włościan i tak skore uwierzenie ze strony księcia w prawną słuszność tego, co mu oni mówili, tłómaczy autor i usprawiedliwia jedynie tą właśnie okolicznością, że to byli proprii ducales homines. Widocznie chce temi słowami podnieść ich znaczenie, a nie poniżyć.

W tymsamym sensie mawiał od czasu zniesienia pańszczyzny, a miejscami i jeszcze mawia o sobie kmieć galicyjski, że jest człowiekiem cesarskim, cisarskij czołowik. Przez co nie wyraża nic więcej, jak tylko, że nie podlega żadnej władzy patrymonialnej, że zna nad sobą jednę tylko władzę rządową. W oczach jego jest to dogmat, co lat temu kilka młody sąsiedniego państwa monarcha w przemówieniu w Düsseldorfie wyrzekł o sobie: »Jeden tylko jest pan w kraju, a tym panem jestem ja« — słowa dumne, w ustach konstytucyjnego władcy, nie rozstrzygam, czy słuszne, ale w kraju patryarchalnie rządzonym, jakim wtedy była Polska, dosłownie prawdziwe.

Antoni Małecki.

BIBLIOTEKA BN NARODOWA
POLSKI INSTYTUT SOCJOLOGICZNY
BIBLIOTEKA Państw. Instytutu Kultury Wsi Katal. Nr. Inwent. Nr. 1227
Oddział w Łodzi

Bibl. Uniwersyt.
Łódź
30.03.73 ✓.

PAN 1114

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001015559072